

JOLANTA MARIA KALETA



ZŁOTO

WROCLAWIA

Jolanta Maria Kaleta
„Złoto Wrocławia”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013
Copyright © by Jolanta Maria Kaleta, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok
Projekt okładki: Anna Pereświat - Softan (pracownia@klimaciarnia.pl)

ISBN: 978-83-7900-132-3

Wydawnictwo Psychoskok
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina	6
Powstało wszystko z prochu	36
Bo wszystkie dni jego są cierpieniem, a zajęcie jego utrapieniem.	50
Ścigam mych wrogów i dopadam, a nie wracam, póki nie zginą	61
Bo sfera psów mnie opada, osacza mnie zgraja złoczyńców	67
Dzień dniowi głosi opowieść, a noc nocy przekazuje wiadomość	76
Bo też i nie zna człowiek swego czasu	86
I wszystko do prochu znów powraca	97
Jest czas płaczu i czas śmiechu	103
Tropem wilka	119
Swoi wśród obcych.	125
Występni krążą dokoła, gdy to, co najmarniejsze, bierze górę wśród ludzi	137
Siedzi w zasadzce przy drogach i niewinnego zabija w ukryciu	152
Bo w ustach ich nie ma szczerości, ich serce knuje zasadzki	171
Bo czas i przypadek rządzi wszystkim.	176
Nie nasyci się oko patrzeniem ani ucho słuchaniem.	195
Jest czas szukania i czas tracenia	208
Zagubiony, odnaleziony, ukryty przez tak długi wiek	224
Nieprzeliczony był cały lud, na którego czele on stanął. Ale później też nie będą z niego zadowoleni.	232
W imię ojca...	243
To, co krzywe, nie da się wyprostować, a czego nie ma, tego nie można liczyć.	250
Ucho, które słyszy i oko, które widzi	271

A kamień wraca na tego, który go toczy	282
Gdzie są ci, którzy byli przed nami	295
Zamykają oni swe nieczułe serca, przemawiają butnie swoimi ustami	301
Czuj ojca twego	312
Jak proch na wietrze ich rozrzucę, zdepczę jak błoto uliczne	327
Jest czas rzucania kamieni i ich zbierania	332
Jest czas milczenia i czas mówienia	339
Serce, które knuje złe myśli, nogi, które biegną do złego	348
Wcale nie lękam się tysięcy ludu, choć przeciw mnie dokoła się ustawiają	356
Siedzi w zasadzce przy drogach i niewinnego zabija w ukryciu	368
Wykopał dół i pogłębił go, lecz wpadł do jamy, którą przygotował	383
Tamci się zachwiali i upadli, a my stoimy i trwamy	400
Pollice verso	410
Wracają wieczorem, warczą jak psy i krążą po mieście.	416
To co jest, było już dawno, a to co będzie, też już jest od dawna	434
Słowniczek niemieckich nazw wrocławskich ulic i miejscowości Dolnego Śląska	459

MOTTO

„2. Odpowiedział im Aaron: Zdejmijcie złote kolczyki, które mają w uszach wasze żony, wasi synowie i wasze córki, i przynieście je do mnie.

3. I pozdejmował cały lud złote kolczyki, które mieli w uszach swoich, i przynieśli je do Aarona.

4. I przyjął je z ich rąk, i ułał z tego w formie z gliny posąg cielca. Wtedy oni rzekli: To są bogowie twoi, Izraelu, którzy cię wyprowadzili z ziemi egipskiej”.

II Księga Mojżeszowa (Księga Wyjścia) 32,2 – 4

Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina

Wysoko postawiony kołnierz wojskowego płaszcza w kolorze feldgrau w najmniejszym stopniu nie chronił oberleutnanta Georga Sorna przed dojmującym mrozem. Szczypał go dotkliwie w uszy niczym złośliwy nauczyciel w szkole podstawowej, kiedy złapał niesfornego ucznia na psotach. Z ust, przy każdym oddechu, wyszarpywał kłęby białej pary, z oczu wyciskał łzy. Temperatura na dworze spadła tej nocy do minus dwudziestu stopni i blade, styczniowe słońce nie było w stanie ogrzać powietrza choćby odrobinę. Wrażenie lodowatego zimna potęgował wiatr świszczący w koronach ogołoconych z liści drzew, stojących w równych szpalerach przy Schlossplatz. Z każdym silniejszym jego podmuchem, zbite w ciasną gromadę wrony z głośnym krakaniem wzbijały się w powietrze, jakby tam szukały schronienia przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Widocznie nastrój niepewności i zagrożenia udzielił się także ptakom. Świat wokół już miesiąc temu pobielił śnieg, pogłębiając uczucie przenikliwego mrozu, dając złudne wrażenie sterylnej czystości i ładu. Na poboczach jezdni zalegały jego solidne hałdy, przykrywał też grubą warstwą chodniki i skrzypiał mroźnie pod skórzanymi podeszwami wysokich butów oficera.

Szybki, energiczny marsz miał za zadanie nie tylko doprowadzić go na czas do budynku Polizeipresidium przy Schweidnitzer Stad-
tgraben, ale także, choć trochę, rozgrzać skostniałe ręce i nogi. Zresztą, po tylu latach żołnierskiej służby, przyzwyczajenie zastąpiło naturę i Sorn nie potrafił już chodzić inaczej. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatni raz miał możliwość podążać wolnym, spacerowym krokiem, noga za nogą, przemierzając nadmorski deptak czy wielkowiejską promenadę. Od lat, w zasadzie od matury, choć jeszcze z pozoru cywil, to jednak na służbie, zawsze w biegu, pilnując, aby nigdy się nie spóźnić, aby zadanie wykonać na czas. W zamyśleniu nie zwracał uwagi na gęstą ciżbę przechodniów sunących szerokim chodnikiem w jedną i drugą stronę, na pozór beładnie, w sobie tylko znanym kierunku, choć wszyscy z jednym i tym samym zamiarem – zgromadzić jak najwięcej zapasów żywności i potem dobrze je ukryć, tak aby Iwan, jeśli już wejdzie do miasta, a ponoć nie wejdzie, nie mógł ich znaleźć i zabrać. Dźwigali w rękach tobołki lub siatki wypełnione konserwami mięsnymi, torebkami cukru, kaszy i mąki. Przepychali się pomiędzy sunącymi wolno kolumnami wojska, przebiegali jezdnię tuż przed maskami rozpędzonych, wojskowych ciężarówek, które gnały w tylko sobie znanym kierunku. Ci, którzy posiadali ogródki, zakopywali w nich niczym te nornice wszystko, co mieli cennego – porcelanę, srebra, dywany, pieniądze, biżuterię. Ale także swoje zapasy – zawekowane mięso, jarzyny i owoce. Kiedy nawałnica ze wschodu przewali się i nastanie pokój, wydobędą swe skarby ze skrytek i będą mogli żyć jak dawniej. Już o niczym innym nie marzyli, tylko o jednym – niechby już było po wszystkim. Oczekiwanie na mające nadejść nieszczęście było gorsze od samego nieszczęścia.

Mundur oficera Wehrmachtu, w który odziany był Georg Sorn, wysoki mężczyzna o zwalistej niczym niedźwiedź postawie, nie robił już na nich żadnego wrażenia ani nie wzbudzał takiego szacunku jak jeszcze rok temu, nawet po Stalingradzie. Wręcz przeciwnie – w niektórych spojrzeniach łatwo dało się wyczytać oskarżenie, że to oni, wojskowi, ponoszą odpowiedzialność za ich, cywilów, cierpienia, że nie stanęli na wysokości zadania i nie doprowadzili do zwycięstwa, mimo ich, zwykłych ludzi, wyrzeczeń i poświęceń. Tych, którzy nosili brunatne mundury NSDAP nagle z ulic wymiotło, jakby zapadli się pod ziemię. Albo zamienili je na cywilne łachy, albo nawiali z miasta, które latem ogłoszono twierdzą, choć nie miało żadnych militarnych umocnień. Funkcjonariusze partyjni myśleli już tylko o ratowaniu własnej skóry, całą resztę mieli gdzieś. Z rozkazu komendanta Festung Breslau na gwałt szykowano schrony przeciwlotnicze, te podziemne i naziemne, punkty szpitalne, gromadzono zapasy żywności. Na Wzgorzu Leibicha, w dawnym Bastionie Sakwowym, który przez ostatnie dziesięciolecia był dla mieszkańców miejscem rozrywki i wytchnienia w cieniu wspaniałych platanów, urządzono dla niego schron. Wokół miasta budowano pozycje obronne, a pod broń powołano także chłopców i starszych mężczyzn. Nawet kobiety przez władze miasta zostały wciągnięte w tryby wojennej maszyny, o ile nie były zbyt stare, zbyt młode czy chore albo z niemowlęciem przy piersi. Według zapewnień gauleitera Niederschlesien, Karla Hankego, Rosjanie mieli nie przekroczyć granicy Śląska, a nawet jeśli, to zostaną odparci huraganowym atakiem podobnie, jak te hordy mongolskie w 1241 roku. Jednak w pierwszych dniach stycznia 1945 roku nawet dziesięcioletni chłopcy już doskonale wiedzieli,

meldując się na zbiórkach Volkssturmu, że były to zapewnienia rzucone grubo na wyrost, obliczone na umocnienie swej politycznej pozycji i podlizanie się Fuehrerowi. Od wielu tygodni spanikowana ludność gnała ze wschodu na zachód, docierając do Breslau. Szeroką falą płynęła ulicami miasta w złudnej nadziei znalezienia w tym mieście – schronie III Rzeszy – bezpiecznej przystani. W najczarniejszych snach nie wyśnili, że kiedy w połowie stycznia 1945 roku armia radziecka ruszy znad Wisły niczym burzowa nawałnica, nic nie będzie w stanie jej zatrzymać. Ani armia walecznego Ferdynanda Schoenera, ani Wunderwaffe, ani żadna inna siła. Uczynić to miała Festung Breslau – obiecywał Hanke. Nikt nie śmiał spytać go o cenę, jaką przyjdzie za to zapłacić. I kto ją zapłaci?

Oberleutnant Georg Sorn spoglądał z mieszanymi uczuciami na ten exodus zmaltretowanej ludności, głównie kobiet, dzieci i starców, okutanych w wełniane, kraciaste chusty, liche paletka, ale także odzianych w kosztowne futra, pchających przed sobą lub ciągnących za sobą wszystko jedno co, byle miało kółka albo płozy. Począwszy od wózków dziecięcych, poprzez rowery i wozy drabiniaste, a na sankach kończąc. Z nadludzkim wysiłkiem targali na nich dorobek wielu pokoleń. To, czego nie zmieścili na swoich dziwacznych, skleconych na miarę czasu środkach transportu, zostało porzucone i wydane na pastwę hordy zwycięzców. Jak nigdy przedtem zaczynała docierać do nich prosta, znana od wieków prawda, że jedyną cenną rzeczą, którą posiada człowiek jest jego życie i to je starali się wynieść cało z tej wojennej zawieruchy. Sorn nie umiał ocenić, czy im wszystkim współczuje z powodu tego nieszczęścia, które malowało się na ich wymizrowanych twarzach, czy odczuwa coś na kształt satysfakcji, bo

byli współodpowiedzialni za tragiczny los, który stanął pod bramami Festung Breslau i głośno łomotał uzbrojonymi pięściami. Pomiędzy falą ludności płynęła druga fala – stada krów pędzone do rzeźni. W ich oczach także czaiło się śmiertelne przerażenie, lecz one nie miały żadnego wpływu na swój los ani możliwości wyboru. Musiały swe życie złożyć w ofierze, aby mieszkańcy twierdzy i jej obrońcy nie zostali wzięci głodem niczym załoga średniowiecznego zamku.

Sorn nacisnął czapkę głębiej na czoło, aby mieć choć wrażenie ochrony przed trzaskającym mrozem i zgrabnie przycisnął się pomiędzy cizbą matek z dziećmi na drugą stronę jezdni. Z daleka, widoczna poprzez bezlistne drzewa, majaczyła ciemnoczerwona, oryginalna w swej architekturze, choć bardzo surowa i monumentalna w wyglądzie i ponura w funkcji, bryła budynku Prezydium Policji. Na swój sposób była piękna. Setki okien, jeszcze nie tak dawno radośnie odbijające w swych szybach promienie słońca za dnia, jaśniejące wieczorną porą setkami żarówek, teraz zostały zalepione czarnym papierem, aby nawet promyk światła nie wydostał się na zewnątrz, wskazując wrogom miejsce swego istnienia. Gdzie nie spojrzeł, wszędzie to samo – czarny papier w oknach upodabniał budynki do monstralnych ślepców stojących bez ruchu wzdłuż ulic. Wysunął nadgarstek z rękawa wojskowego płaszcza i spojrzeł na zegarek – do godziny jedenastej brakowało piętnastu minut, będzie więc na czas.

Pięć minut później lekko wbiegł po kamiennych, starannie odśnieżonych schodach, wprost do głównego wejścia. Atmosfera oblężenia, w sensie przenośnym i dosłownym dotarła i tutaj. Ciężkie, dębowe drzwi te od frontu i te z tyłu, dosłownie

nie zamykały się. W tę i w tamtą stronę wchodzili i wychodzili oficerowie i szeregowi odziani w mundury wszystkich formacji policji i wojska, z lotniczymi włącznie, a i cywilów nie brakowało. W tym zamieszaniu i pośpiechu mało kto zwracał uwagę na oddawanie honorów i czci Fuehrerowi. Musiałby trzymać przedramię bez przerwy uniesione do góry. Gorączka przygotowań do obrony ostatniej twierdzy Tysiącletniej Rzeszy udzieliła się wszystkim, zwłaszcza, że okazywanie obaw i najmniejszych nawet oznak braku wiary w zwycięstwo, na rozkaz surowego gauleitera, karano śmiercią. Oskarżenie o sianie defetyzmu prowadziło najkrótszą drogą wprost przed pluton egzekucyjny, jak pokazywał jaskrawo przykład burmistrza Spielhagena i wielu innych. Już od kilku tygodni po kątach nie mówiono o najwierniejszym dygnitarzu Hitlera inaczej jak „kat Breslau”, a jeszcze nie do końca pokazał, na co go było stać.

Idąc długim korytarzem, Sorn poprawił chwyt dłoni na czarnej, skórzanej teczce, którą niósł ze sobą. Były w niej dokumenty stanowiące owoc dwutygodniowej wyprawy po okolicy wraz z naprędce skleconą ekipą. Na polecenie Karla Hankego znalazł się w niej hauptsturmführer ss Kurt Ritter i usiłował grać pierwsze skrzypce. Zadanie było zbyt ważne, aby ci w czarnych i brunatnych mundurach nie wściubili swego parszywego nosa. Im bliżej końca wojny, tym bardziej interesowali się tym, co nastąpi po niej. Mając pewność, że nie zostaną zaproszeni do stołu rokowań, o swój los musieli zadbać sami. Do ekipy dołączył także oberleutnant Bruno Ebert. Choć w Abwehrze był od początku wojny, to po '44 roku, kiedy ich wrzucili do jednego worka pod nazwą RSHA i ss przejęło kontrolę nad wszystkim i wszystkimi, z dnia na dzień coraz bardziej wielbił nowego szefa czyli

Heinricha Himmlera. Zdaniem Sorna bezprzykładnie lizał dupę Ritterowi. I nie było to dziwne, gdyż po wyrokach śmierci na członków Czarnej Orkiestry i aresztowaniu Canarisa, wszyscy na wszelki wypadek pochowali ogony pod siebie. Wojna zbliżała się ku końcowi i nikt nie chciał się niepotrzebnie wychylać. Każdy marzył w zasadzie o tym samym – przeżyć. Jedno wszak można było o Ebercie powiedzieć na pewno – był ślepo oddany III Rzeszy. O ile był trzeźwy. Czwartą osobą był młodziutki leutnant, Herman Meier, saper. Jego rola miała ograniczyć się do przygotowania, o ile będą potrzebne, materiałów wybuchowych. Sorn zmierzał wprost do gabinetu swojego przełożonego, szefa Abwehrstelle Bresalu, Sturmbannführera ss Otto Bergmana, kierującego całym, objętym klauzulą najwyższej tajności, przedsięwzięciem.

Sekretarka majora, Ewa, jak zwykle uśmiechnęła się zalotnie i kokieteryjnie odgarnęła blond loczek znad czoła. Zerwała się zza stolika, na którym stała maszyna do pisania, zostawiając pismo wkręczone na wałek. Adresowane było do centrali w Berlinie. Tak przynajmniej na pierwszy rzut oka ocenił Sorn.

– Szef już o pana pytał, poruczniku – zaszczębiotała, odbierając z jego rąk płaszcz i czapkę; powiesiła na wieszaku tuż przy drzwiach.

Sorn rzucił okiem na zegarek – był kilka minut przed czasem. „Dlaczego Staremu tak pilno?” – pomyślał. Obciągnął poły munduru i poprawił pasek. Musiał go zapiąć o jedną dziurkę dalej. Tłukąc się po tych pipidówkach razem z Ebertem i Meierem, żarli co popadnie albo i wcale, więc schudł ze dwa, trzy kilo. Ritter, oczywiście, wizytował jedynie Krummhübel, aby przy okazji pojeździć na nartach i zaliczyć kilka przerażonych

wydarzeniami miejscowych piękności. Płaski, prawie wklęsły brzuch Sorna jeszcze bardziej uwypuklił jego szerokie ramiona, umięśnione jak u drwała. Zwiastowały nadludzką siłę oficera. Ewa łakomie otaksowała go wzrokiem, starannie omijając szeroką szramę na policzku, tuż pod prawym okiem. Zdecydowanie psuła wizerunek tego dość przystojnego porucznika. Może jak na jej gust zbyt wysokiego, bo ona nie lubiła zadzierać głowy do góry, aby obdarzyć mężczyznę pocałunkiem. Podeszła drobnym kroczeniem do drzwi gabinetu swego szefa, stukając po starannie wyfroterowanym parkiecie obcasikami brązowych czółenek i otworzyła je szeroko przed Sornem. Szybkim ruchem ręki przeczesał gęste, ciemne włosy, lekko skręcone na końcach. Już powinny widzieć się z fryzjerem, ale akurat na to Sorn nie miał czasu w tych ostatnich, tak gorących, choć przeraźliwie mroźnych dniach.

Kierujący Abwehrstelle Bresalu Sturmabteilungsführer ss Otto Bergman siedział za biurkiem zavalonym toną dokumentów. Niektóre luźno walały się po blacie, inne grzecznie spoczywały w tekturowych teczkach starannie opisanych kaligraficznym pismem setek sekretarek i adiutantów. Wszystkie zaopatrzone w litery RSHA i pieczętkę przedstawiającą czarnego orła z rozpostartymi skrzydłami, z niewielkim wieńcem w szponach, ze swastyką w środku. Nad tą stertą unosił się aromatyczny zapach drogiego cygara, które major delikatnie trzymał krótkimi, grubymi palcami potomka pruskich chłopów. Spojrzał jedynym okiem, które posiadał, na wchodzącego do gabinetu mężczyznę. Drugie oko, a właściwie miejsce po nim, zasłaniała czarna, skórzana opaska. Ten defekt był powodem zmartwienia, ale jednocześnie i dumy majora Bergmana, choć nikt przy zdrowych

zmysłach nie cieszy się z braku oka. Ale on je utracił w arcyważnej operacji o kryptonimie „Wald”, przeprowadzonej w 1942 roku, jeszcze za rządów Canarisa, którego Bergman po prostu uwielbiał. Po katastrofalnym fiasku Pastoriusa, Otto Bergman podjął się podobnego zadania. Dzięki jego determinacji i bezprzykładnej odwadze akcja, podczas której, wówczas jeszcze jako kapitan, o mały włos nie utracił życia, zakończyła się pełnym sukcesem. W podziękowaniu za dzielność awansował do stopnia majora, a kilka miesięcy później przeniesiono go do Breslau na stanowiska szefa Abwehry. Strata oka w tej sytuacji wydawała się niezbyt wygórowaną ceną. Gdy Bergman ujrzał wchodzącego do gabinetu porucznika Sorna, wydarzenia te jak żywe stanęły mu w pamięci. W operacji tej uczestniczyli razem i od tego czasu datowała się ich przyjaźń. Łodzią podwodną dowieziono ich oraz dwoje innych agentów w pobliżu Dover. Pod osłoną nocy, pontonem, dopłynęli na brzeg. Ponton wraz z radiostacją zakopali w piasku na plaży i przebrani za angielskich robotników od samego rana wtopili się w tłum. Wszyscy mówili po angielsku, a prowincjonalne pochodzenie i brak wykształcenia tłumaczyły niedoskonałości językowe. Zaopatrzeni w materiały wybuchowe przypominające bryłki węgla i zapalniki czasowe w kształcie ołówków czy piór, mieli za zadanie wysadzić w powietrze brytyjski krążownik Belfast i siostrzany Edynburg. O ile sprawa z tym drugim potoczyła się bez problemów i zakończyła sukcesem, to w przypadku Belfastu nie wszystko poszło po ich myśli. Niespodziewanie, zanim podłożyli ładunek wybuchowy, zostali zatrzymani i doszło do szarpaniny. Podczas, gdy Sorn usiłował obezwładnić dwóch marynarzy angielskich, Bergman wpadł do maszynowni i umieścił tam bombę z zapalnikiem czasowym

nastawionym na kilkanaście sekund. Zdążył jedynie wyskoczyć na pokład, gdy nastąpiła eksplozja i siła wybuchu wyrzuciła ich do morza. Bergmana, któremu kawałek jakiegoś żelastwa wybił oko, Sorn doholował do brzegu. Jemu odłamek rozorał pół policzka, ale kości nie naruszył. Pozostali poszli na dno wraz z jednostką. Oskar i Otto wykopali radiostację i porozumieli się z centralą. Resztę dnia i pół nocy przesiedzieli w gęstych zaroślach. Gdy wysłany po nich okręt podwodny pojawił się nad ranem, nadmuchali ponton i puścili się w jego kierunku. Wówczas to dostrzegła ich straż nabrzeżna i jedna z kul raniła Sorna w klatkę piersiową. Przeżył tylko dzięki temu, że przeszła bokiem nie uszkodzając kości ani płuca. Na pamiątkę po operacji „Wald” pozostała mu jednak głęboka blizna na prawym policzku i druga, tuż pod obojczykiem. Na pocieszenie awansował na porucznika, a Bergman załatwił dla niego przydział do Abwehrstelle Bresalu. Lubił tego bystrego, energicznego młodego człowieka, tryskającego zdrowym patriotyzmem na kilometr, z sympatycznym dołeczkiem w brodzie.

– Dobrze, że jesteś parę minut wcześniej – oświadczył bez zbędnych ceregieli i tych nazistowskich ćwiczeń gimnastycznych, w postaci machania prawicą, których nie znosił. – Musimy coś ustalić, zanim ten przystojny rzeźnik z gestapo, Ritter, zaszczyci nas swoją obecnością.

Major szeroką dłońią, pokrytą licznymi plamkami piegów rozsianych na białej niczym mleko skórze, jak to zwykle bywa u ludzi o rudym kolorze włosów, wskazał Sornowi krzesło za stołem konferencyjnym i podniósł się zza biurka. Oszczędnym ruchem poprawił mundur nieco zadzierający się ku górze na zaokrąglonym brzuchu i przyglądał ryże jak futerko wiewiórki

zmierzwił włosy. Choćby nie wiadomo ile brylantyny na niego wylał, i tak wykręcały się na wszystkie strony niczym nastroszone piórka świeżo wyklutego pisklaka. Gdy rozsiedli się obaj wygodnie, Bergman podsunął porucznikowi srebrną papierośnicę wypełnioną drogimi, o białutkiej bibułce, papierosami.

– Poczęstuj się. Resztki z francuskich czasów – oznajmił, jakby z żalem w głosie.

Z kieszeni munduru wyciągnął zapalniczkę i podał koledze ogień. Chwilę obydwaj milczeli, delektując się smakiem palonego tytoniu. Jego błękitne obłoki wraz ze słodkim aromatem rozpląwały się leniwie nad stołem, unosiły się pod sufit, wędrowały w stronę drzwi. Przypominały przejrzysty welon z tiulu poruszany delikatnym zefirkiem.

– Słuchaj, Georg – ciszę pierwszy przerwał major. – To, co dziś ustalimy na zebraniu razem z pozostałymi, to musi być kamufaż. Ritter nie ma prawa dowiedzieć się, gdzie naprawdę pojedzie transport.

– Nawet domyślałam się dlaczego – odparł Sorn, nie kryjąc uśmiechu zadowolenia, który wykwitł na jego starannie, mimo braku czasu, wygolonej twarzy; ta koncepcja bardzo mu odpowiadała, choć ze skrajnie innych powodów niż majorowi.

– Podejrzewam, że ta kanalia prowadzi jakąś własną grę. Być może do spółki z kimś z samej góry. – Bergman zniżył głos i zerknął odruchowo na drzwi, choć nie było możliwości, aby ktoś podsłuchiwał.

– Mam podobne odczucia... I nawet domyślałam się, kto za tym stoi...

– Otóż to – Bergman strząsnął do kryształowej popielnicy gruby słupek popiołu z wypalonego cygara. – Nie będę zatem

tracił cennego czasu, aby wyjaśniać ci szczegóły. Powiem tylko, że mamy ciche poparcie samego Schellenberga. Oni w Berlinie robią dokładnie to samo. Ten transport jest zbyt cenny, aby taki Ritter i jego wysoko postawieni kompani w brunatnych mundurach położyli na nim swoje brudne łapy. Zawartość skrzyni zapewni Rzeszy dalsze funkcjonowanie. Być może pod nowym już kierownictwem. Jak wiesz, Schellenberg ma podobne zdanie, jak ja czy ty, na temat tych rzeźników z gestapo – tylko psują nam opinię.

– Na czym ma polegać moje zadanie? – Sorn zmienił temat; dla niego całe ss to rzeźnicy, ale wszem i wobec wołał tego nie rozgłaszać.

– Ritter nie może wziąć bezpośredniego udziału w akcji ani dowiedzieć się, gdzie schowasz skrzynie. Nie wnिकam, jak to zrobisz. Twoja w tym głowa – Bergman zatopił w poruczniku czujne spojrzenie. – A ja, kiedy będzie już po wszystkim, naprowadzę go na fałszywy trop. Prawdziwy schowek będziemy znać tylko my trzej. Ten transport musi zostać w naszych rękach, Georg.

– O nic się nie martw, Otto. Wykolegować Kurta, to nie jest poważny problem – Sorn uśmiechnął się pod nosem; pomysły Bergmana dawały mu swobodę działania także na innym polu. – Znam słabostki Rittera i wiem, jak je wykorzystać.

Sorn z zapamięł potwierdził pełną akceptację dla pomysłów swego przełożonego. Wyjątkowo, w tym wypadku, zgadzał się z nimi nie tylko jako oberleutnant Abwehry. Panowie zdążyli ustalić jeszcze kilka istotnych szczegółów, gdy sekretarka uchyliła drzwi i do gabinetu majora Bergamna wkroczył odziany w czarny mundur hauptsturmfuehrer ss Kurt Ritter. Zimnym spojrzeniem piwnych oczu okolonych gęstymi, czarnymi rzęsami

obrzucił pomieszczenie. Na dłużej zatrzymał wzrok na poruczniku swobodnie rozpartym za stołem, z papierosem w ustach. Ta zażyłość między szefem komórki a tym oficerem doprowadzała go szewskiej pasji, ale jak dotąd żadnej skazy na nim nie udało się znaleźć ani Ritterowi, ani jego ludziom.

– Heil Hitler! – wrzasnął nie tyle przepisowo, co z kpiną; doskonale wiedział, że to zawołanie przeszło już do historii, ale uwielbiał droczyć się z majorem.

– Niech pan siada, kapitanie – oznajmił Bergman, rzucając w jego stronę lodowate spojrzenie swego jedyne go oka przypominającego w kolorze błękit zimowego nieba. – Znowu kierownictwo pana odznaczyło? – spytał, wymownie spoglądając na jego galowy mundur.

– Poświęcenie dla ojczyzny i wierna służba w tak ciężkich czasach są szczególnie doceniane – odparł z dumą, lecz Sorn wyłowił tkwiącą na dnie tych słów kpinę.

– Papierosa? – Bergman, puszczać mimo uszu te przechwałki, podsunął w jego kierunku papierośnicę. – A może cygaro?

– Dziękuję, jeszcze mam własne – odrzekł z ledwie dostrzeżalną wyższością i sięgnął do kieszeni czarnego munduru po papierośnicę.

Sorn podał mu ogień i na chwilę zapadła cisza. Ritter zaciągnął się głęboko, zachłannie, jakby nie palił od dłuższego czasu. Uwalniając dym z płuc, z uwagą spojrzął na swoje paznokcie – były starannie wypielęgnowane i stanowiły prawdziwą ozdobę jego pięknych dłoni, których nie powstydziliby się nawet światowej klasy pianista. Kapitan, dość młody, zaledwie trzydziestoletni oficer ss, zaliczał się do mężczyzn, których kobiety określały mianem „zabójczo przystojny”. Wysoki, ale nie

tak zwalisty i kanciasty jak Sorn, proporcjonalnie zbudowany, o bardzo ciemnych włosach, które na skroniach zdążyły przystroić się paroma srebrnymi nitkami. Ładna, prawie kobieca, oprawa oczu, szeroki podbródek i zmysłowe usta wzbudzały u pań tęskne spojrzenia i czułe westchnienia. Wykorzystywał to bez opamiętania i bez żadnych skrupułów. Sorn w myślach nazywał go żigolakiem spod znaku trupiej czaszki. Głośno jednak nie podejmował krytyki swego towarzysza od specjalnego zadania. Raz, że Ritter pracował gdzie pracował, a dwa, że był wyższy stopniem. Było też i po trzecie – w sytuacji Sorna wszelkie zbędne ryzykanctwo mogło skończyć się źle. To dzięki swemu opamiętaniu, trzymaniu nerwów na wodzy, chłodnej kalkulacji i nie uleganiu emocjom, nie tylko przeżył lata wojny, lecz był w tym właśnie miejscu i wykonywał cholernie ważne zadanie. A cudze podboje łóżkowe pośród rzeszy sekretarek, kelnerek czy innych spragnionych jakiegokolwiek miłości panienek, miał gdzieś.

– Ten stalingradzki mróz nadal trzyma – odezwał się w końcu Ritter i spojrzał na zegarek. – Czekamy na Eberta czy zaczynamy bez niego?

Jakby wywołany tymi słowami, oberleutnant Bruno Ebert otworzył drzwi i zameldował się przepisowo, stukając głośno obcasami oficerskich butów. Niepozorny i zbyt chudy jak na mężczyznę w wieku trzydziestu lat. Nastroszone, bure włosy, mocno odstające uszy i małe, rozbiegane oczka czyniły go podobnym do chytrej małpki zamkniętej w klatce w zoo, rozglądającej się, gdzie by tu coś zwędzić. Gdyby nie mundur oficera Abwehry, nikt nie zaszczyliłby Eberta jednym, marnym nawet, spojrzeniem. Karierę robił dzięki donosicielstwu. Zmieniał fronty i popleczników, raz wróg, raz przyjaciel. Fama głosiła, że zbierał na

wszystkich informacje – kto miał kochankę, kto długi, a nie daj Bóg, aby wywąchał, że ktoś był homoseksualistą. W zaufanych kręgach mówiło się, że miał już zebrane dowody na homoseksualizm Canarisa, ale nie zdążył zrobić z nich użytku. Zdaniem Eberta, takie rzeczy nie uchodziły prawdziwemu aryjczykowi.

– Niech pan siada, poruczniku Ebert – huknął zniecierpliwiony Bergman. – Jest pan spóźniony o pięć minut. – spojrzął wymownie na zegarek.

– Przez ten mróz są ciągłe kłopoty z komunikacją – tłumaczył się speszony, strzelając spojrzeniem po kątach. – I jeszcze te stada krów...

– Niech pan już da spokój, Ebert – major przerwał mu w pół zdania i lekceważąco machnął ręką. – Przejdźmy do meritum, bo czas nas nagli. Lada moment Rosjanie mogą odciąć nam nasze szlaki komunikacyjne i zostaniemy, z przeproszeniem, z ręką w nocniku na kupie złota.

Ebert posłusznie zajął miejsce tuż obok Sorna i dyskretnie szepnął mu do ucha:

– Masz jakieś papierosy? Swoje zapomniałem u Heleny...

Sorn wyraźnie wyczuł dolatujący od niego zapach alkoholu, ale nie miał zamiaru tego komentować. W ostatnich czasach mocniejszych trunków nadużywali wszyscy – nawet kobiety, a rozluźnienie obyczajów stawało się powszechne. Jak nigdy dotąd memento – nie znasz dnia ani godziny – pojawiała się na wielu ustach, stając się obowiązkową dewizą mieszkańców Bresalu. Każdy, zanim umrze, chciał skosztować wszystkich pokus, jakie niosło ze sobą kruche życie, które w każdej chwili mogło zostać przerwane. Poczęstował Eberta papierosami szefa leżącymi na stole i podał ogień. W tym czasie major starannie

zgasił w popielniczce niedopałek grubego cygara, a kapitan Ritter strzepnął niewidoczny pyłek z bryczesów i zlustrował wzrokiem czubki starannie wyczyszczonej butów. Ordynans wyfroterował je z rana szczotką niczym hebanową posadzkę w pałacowym hallu. Lśniły czarnym blaskiem jak nowe.

– Który z panów będzie referował? – spytał major, przenosząc wzrok od jednego do drugiego oficera, choć dobrze wiedział, że zrobi to Georg.

– Jeżeli pan kapitan pozwoli, to może ja – oświadczył Sorn, wyciągając z teczki, którą postawił tuż obok swego krzesła, jej zawartość.

– Ależ proszę bardzo, proszę, poruczniku Sorn – krygował się Ritter, krzyżując ramiona na piersi.

On stał na stanowisku, aby dokumentację RSHA puścić z dymem i nie bawić się w chowanego. Jeśli, nie daj Bóg, wpadnie Rosjanom w łapy, to głowy wielu niemieckich dygnitarzy, i nie tylko, posypią się niczym ulegalki po pierwszych upałach. Ale nawet ci u góry byli innego zdania. Trwali w swym uporze, że to jeszcze nie był koniec, że Wunderwaffe, nomen omen, uczyni cuda i losy wojny się odwrócą. On takich idiotycznych złudzeń już nie miał. Natomiast zawartością pozostałych skrzyń powinni się podzielić i prysnąć jak najdalej stąd. Nie miał najmniejszego zamiaru bronić Festung Breslau do ostatniej kropli krwi jak z uporem maniaka nawoływał Hanke. Ale głośno tego oznajmić nie mógł. Major Bergman uchodził za prawdziwego patriotę i całym swoim życiorysem to potwierdzał. Poczynając od Verdun, a na operacji „Wald” kończąc. Gotów donieść, gdzie potrzeba i pluton egzekucyjny gotowy. Kapitan Kurt Ritter opracował zatem swoje własne zasady zabawy

w chowanego i nie poinformował o nich reszty zespołu od specjalnego zadania.

Porucznik Sorn starannie ułożył na stole, tuż przed majorem, kilka dokładnych map sztabowych Niederschlesien. Obrzucił je krótkim spojrzeniem – przyniósł wszystkie. Tuż obok rozłożył niczym wachlarz plik gęsto zapisanych karteczek. Sięgnął po pierwszą z brzegu.

– W ostatnim czasie spenetrowaliśmy kilka miejscowości – zaczął swój wywód ze wzrokiem utkwionym na kartce. – Zaczęliśmy od zbadania nieczynnych już kopalni chromitu na wzgórzu Geiersberg. To na południe od Breslau, niedaleko, około trzydziestu kilometrów. – Rozłożył jedną z map i trzymany w ręce ołówkiem, wskazał wspomniany punkt. – Znajdujący się w sąsiedztwie masyw góry Siling też spełnia nasze oczekiwania. – Po raz kolejny stuknął ołówkiem w mapę. – Skrzynie można ukryć albo w sztolniach, albo w podziemiach kościółka, stojącego na samym szczycie wzgórza. Jest tylko jedno ale... Nie wiem, czy zdążymy.

– A to dlaczego? – zainteresował się Bergman, zakładając nogę na nogę.

– Na dniach mają tam wejść, o ile już nie weszły, oddziały 21. Korpusu Strzeleckiego majora Haxmana i któryś z dywizjonów przeciwlotniczych – wyjaśnił Sorn. – Według mnie nie mamy rady zachować bezwzględnej tajemnicy. A ci z Wehrmachtu za nic mają naszą koronkową robotę. Według nich, w tej grze, liczą się tylko armaty, czołgi i tony wszelkiego żelastwa. Rozmowy o możliwości przegranej nie wchodzi w grę...

– Racja – zgodził się major. – Poza tym mam poważne podejrzenia, że za naszymi plecami mogliby opróżnić skrytki, zanim

wrócilibyśmy do Breslau. Wiecie przecież, co się wyprawia w domach opuszczonych przez lokatorów? – spytał na koniec retorycznie.

Powszechny rabunek mienia był – zdaniem Bergmana – plamą na honorze żołnierza niemieckiego, ale nawet surowe kary, ze śmiercią włącznie, nie mogły temu zapobiec.

Sorn rzucił ukradkowe spojrzenie na Rittera, ale on nadal zajęty był wyłącznie sobą i swoim wyglądem. Skubał tajemniczy, niewidoczny pyłek na rękawie munduru. Sprawiał wrażenie mało zainteresowanego tematem, ale porucznik po tylu latach służby w wywiadzie nie dał się na te jego miny nabrać.

– Kurt, a co pan o tym myśli? – spytał obojętnym tonem, przywołując go tym samym do porządku. W końcu cała czwórka ponosiła odpowiedzialność za operację Gold.

Kapitan wytrącony z otchłani własnych myśli, bąknął enigmatycznie:

– No cóż. Ja może bym zaryzykował... Po jaką cholere ę tuc się dziesiątki kilometrów po mrozie, z Ruskimi depczącymi po piętach?

Bergman spojrzał na niego krytycznie i gestem zachęcił Sorna, aby kontynuował. Ebert z papierosem w ustach przerzucał wzrok od jednego, do drugiego oficera, lecz myślami był w zupełnie innym miejscu. Akurat w tym dniu, kiedy penetrowali Siling i Geiersberg, miał horrendalnego kaca i nic do niego nie docierało, nie mógł więc się wypowiedzieć.

– Doskonale wrażenie wywarły na nas pomieszczenia filii fabryki Telefunkena w Leubus, w podziemiach dawnego opactwa cystersów – relacjonował dalej Sorn i wskazał majorowi na mapie położenie wspomnianej miejscowości. – Podziemne hale

zostały umocnione na wypadek bombardowań, są windy, którymi można bez problemu przetransportować ładunek do wnętrza, no i robotnicy, którzy rozładują ciężarówki i wniosą skrzynie do piwnic.

– To tylko pięćdziesiąt parę kilometrów od Breslau – wtrącił Ebert, aby Bergman nie miał żadnych wątpliwości, że on także ciężko się napracował. – Droga na Luben, od zjazdu z głównej szosy jakieś 6–8 kilometrów. Trasa nie jest tak zatłoczona jak na kierunku południowo-zachodnim...

– Tak... Brzmi bardzo interesująco... – zgodził się major, śledząc palec Sorna wędrujący po mapie sztabowej.

– Zwłaszcza, że na zlecenie ministerstwa lotnictwa prowadzone są tam od jakiegoś czasu także tajne prace nad radiolokacją, zachowują więc daleko idącą konspirację i byle łajzy nie mają tam wstępu – mruknął pod nosem milczący do tej pory Ritter.

– I to jest właśnie minus tego miejsca – Sorn przerwał jego wywód i nerwowym ruchem odgarnął włosy z czoła. – Rosjanie z miejsca się o tym dowiedzą i przewrócą cały teren do góry nogami, aby odnaleźć przemysłową platynę. Przez przypadek mogą natrafić na nasze skrzynie.

Sięgnął po kolejną gęsto zapisaną karteczkę. Rozejrzył się po gabinecie swojego szefa w poszukiwaniu czegoś do picia. Od gadania całkiem zaschło mu w gardle. Jakby tego było mało, najzwyczajniej w świecie go suszyło – poprzedniego wieczoru wypił sporo wódki z takim jednym, aby wyciągnąć z niego potrzebne informacje objęte klauzulą tajności. Kryształowa karafka z wodą stała na biurku. Bergman podchwycił jego spojrzenie i skinął głową. Porucznik odszedł od stołu i po chwili wrócił z karafką

w jednym ręku i dwiema szklankami w drugim. Nalał do każdej wody i jedną podał majorowi. Sam wychylił ze dwa, trzy łyki, oblizwał wargi i dopiero kontynuował:

– W rejonie Hirschberg mamy kilka wytypowanych miejsc. Po pierwsze: w Warbrunn w pałacu Schaffgotschów. Choć ja nie jestem tym pomysłem zachwycony. Ponoć Grundmann już zwozi tam dzieła sztuki. Moim zdaniem taki tłok nie służy konspiracji.

– Co pan sądzi o tym, Kurt? – spytał Bergman, popijając wodę małymi łydkami.

– Może Georg ma rację – odparł pewnym siebie tonem i przechylił się na krześle w tył. – O działalności Grundmanna już wróble ćwierkają na dachu i wywiad radziecki może błyskawicznie wpaść na ten trop. Ponoć wykazy tych jego skrytek zostały zaszyfrowane, ale dla Ruskich to żaden problem. – wydał pogardliwie wargi i lekceważąco machnął ręką. – Ale mówi się, że pod latarnią najciemniej...

– Też prawda – mruknął Bergman. – Podziemia pałacu to przyzwoity schowek... I upilnować łatwiej, niż gdzieś w lesie...

– Miejsce drugie – kontynuował Sorn, niezrażony opinią swoich kolegów. – W rejonie Krummhübel. Mamy tam kilka możliwości. Albo w szczelinie pod Schneekoppe – ołówkiem wskazał tylko sobie znany punkt na mapie. – Miejscowi mówią na nią „porfirowa dziura”. Albo po południowej stronie góry, w okolicach miejscowości Petzer. Dojazd dużo lepszy niż od Krummhübel, co przy obecnych warunkach pogodowych jest sprawą niebagatelną. A chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę, że do wiosny nie możemy już czekać. Moim zdaniem, jeśli zdecydujemy się na Schneekoppe, to tylko tam. Istnieje jeszcze możliwość ukrycia skrzyń w nieczynnych sztolniach Heinrich

i Gustaw w Seifengrube, tyle że po tych opadach śniegu trzeba by zapędzić ze dwudziestu ludzi do odkopania wejścia. Trudno byłoby zachować pełną tajemnicę. Chyba, że weźmiemy więźniów, których potem się zlikwiduje.

Ritter i Bergman dobrą chwilę pilnie studiowali rozłożoną przed ich oczyma mapę. Dość głośno dzielili się uwagami, rozważali każde za i przeciw. Kiedy major uznał problem za wyczerpany, zawisł na poruczniku wyczekującym spojrzeniem swego jedyne go oka. Sorn chrząknął i z kartką w ręce informował dalej:

– Spenetrowaliśmy wzgórze Ratschberg, nieopodal miejscowości Moisdorf, na południe od Jauer. Dosłownie kilka kilometrów. To rejon Bober – Katzbach – Vorgebirge. Jest to miejsce ze wszech miar bardzo interesujące...

– W tym temacie akurat, poruczniku Sorn, pozwolę się z panem nie zgodzić – wtrącił się niespodziewanie kapitan Ritter – Wzgórze, może i owszem, nadaje się. Jak najbardziej. Jest i naturalna jaskinia i stare wyrobiska, które łatwo można zamaskować jednym zerwaniem skały albo nawet przy pomocy zwykłej koparki. Tylko jest zbyt stromo, aby ciężarówki wjechały po zaśnieżonym zboczu na odpowiednią wysokość. Trzeba by skrzynie wnosić, a do tego potrzebni są ludzie. W Moisdorf nie ma ani fabryki, ani obozu pracy. Chyba, że ma pan zamiar wozić w tym celu robotników z Breslau, tylko pytam się czym, skoro każda ciężarówka i każda para rąk jest na wagę, nomen omen, złota. A przecież miejscowych nie zapędzę do tej roboty, bo to przecież Niemcy. Nie każe pan chyba, panie majorze, rozstrzelać Niemców? – spytał na koniec swojej tyrady z pretensją w głosie, jakby on sam nigdy podczas kończącej się właśnie wojny takiego rozkazu nie wydał ani razu.

Major Bergman spojrział swoim jedynym okiem na kapitana trochę z ukosa. Akurat siedział od drugiej strony, tej pozbawionej organu wzroku. Argument, którego użył Ritter nie przemawiał do jego wyobraźni.

– Co pan nagle zrobił się taki wrażliwy, kapitanie Ritter? – spytał z kpiną w głosie i sięgnął po papierosa. – Jeśli mnie pamięć nie myli to wy, z gestapo, z nikim się nie cackaliście, nawet z ludnością niemiecką.

Ritter już otwierał usta, aby odeprzeć atak, ale Sorn nie miał zamiaru dopuścić do dyskusji na tematy ideologiczne. Nie mieli już czasu na cokolwiek, a tym bardziej na spory niewarte nawet świeczki. Niezrażony autorytatywnym tonem Kurta i złośliwościami Starego, kontynuował wypowiedź:

– Fakt, że miejsce odludne, ale to jedynie plus. Nikt niepowołany nie podpatrzy, gdzie ukrywamy skrzynie. Odległość od Breslau niewielka i dojazd bardzo dogodny. Od autostrady ze dwadzieścia parę kilometrów. To istotne z uwagi na warunki atmosferyczne. Dojechać dzisiaj do Krummhobel przy tym mrozie i tej ilości śniegu i wtargać to wszystko pod Schneekoppe jest więcej niż problematyczne. A jeśli chodzi o siłę roboczą, kapitanie Ritter – rzucił okiem na esesmana – to niech pan nie udaje idioty. Każde dziecko wie o istnieniu obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, zaledwie w odległości kilkunastu kilometrów od Moisdorf. Można powiedzieć, że po drodze. Tam więźniów do pracy nie brakuje i jeśli pan major wystawi stosowne pisemko, z pewnością kilku nam odstąpią.

– Jeśli już, Sorn, upierasz się przy starych kamieniołomach, to według mnie wzgórze Willenberg będzie bardziej przydatne – Ritter założył swobodnym ruchem nogę na nogę i zaciągnął

się papierosem. – To jedynie dwadzieścia kilometrów dalej, a w pobliskim miasteczku Schonau są przymusowi robotnicy... O obszernej jaskini wewnątrz starego wyrobiska już nie wspominam...

– Zgoda, ale... – zawiesił głos i spojrzał czujnie w oczy Rit-tera. – Jakim cudem przedostanie się pan ciężarówkami przez tę cholerną rzeczkę opływającą wyrobisko niemal ze wszystkich stron? Te dwa mostki są liche i nie uniosą samochodu obciążonego kilkutonowym ładunkiem. Już nawet nie wspominam o tej wąskiej drodze wiodącej u podnóża góry wzdłuż rzeki. Ciężarówka ześlizgnie się do koryta i ugrzęźnie. Noszenie skrzyń przez mostek może dostrzec któryś z mieszkańców wioski, czy siedzący w karczmie jednej lub drugiej jakiś maruder. Jeśli sam nie do-bierze się do skrytki, to wypaple, gdy Ruscy chwycą go za gardło.

– Rzeczka przy tym mrozie to nie problem – Ritter wsunął do ust kolejnego papierosa i zapalił. – A mieszkańców zapędzi się do chałup i zabroni wyściubiania nosa pod groźbą zastrze-lenia, jak zwykle... W końcu w tej wsi, Roversdorf, jest tylko kilka chałup na krzyż...

Wymiana zdań sprawiała wrażenie zwykłej sprzeczki rywa-lizujących ze sobą oficerów dwóch różnych służb, lecz Sorno-wi chodziło o coś więcej. Chciał, aby Kurt nabrał przekonania, że skrzynie zostaną złożone właśnie w Moisdorf lub Roversdorf. A on dla nich miał inne miejsce. Nie tak oczywiste jak wzgórze Ratschberg, Willenberg, stare sztolnie czy pałacowe piwnice. Rit-ter łypnął wściekłym okiem na Georga, ale pozostawił jego ko-lejne argumenty bez komentarza. On miał wszystko opracowane w szczegółach i wszelkie spory były zbędne. Strata czasu i ener-gii. Jeśli dobrze pójdzie, weźmie ze dwóch szeregowych i załatwi

sprawę po swojemu. Sorn, nie słysząc już więcej żadnych uwag, sięgnął po kolejną karteczkę zawierającą szczegóły akcji.

– Wizytowaliśmy Riese w Eulengebirge, ale moim zdaniem to nie jest najlepsze miejsce – referował dalej. – Jeden z obiektów już został wypełniony skrzyniami, a wejścia wysadzono w powietrze i zamaskowano. Dwa grzyby w barszcz, to zawsze było za dużo... Poza tym kręci się tam zbyt wielu ludzi i nie mam tu na myśli setek więźniów, tylko personel i miejscowych. Nie mogę zagwarantować, że jakaś tchórzliwa świnia nie doniesie później komu trzeba, co widziała, aby tylko uratować swoje parszywe życie. Dojazd krętą górską drogą pełną serpentyn w tych warunkach atmosferycznych także pozostawia wiele do życzenia. Na organizowanie transportu kolejowego nie mamy już czasu.

– Zgadzam się. W naszym przypadku nie można pozwolić sobie na fuszerkę – niespodziewanie poparł go Ritter i wyciągnął nogi przed siebie.

Wzrok zatopił na czubkach swoich butów. Wyjątkowo nie znosił Riese – i jako miejsca, i jako projektu, marnującego pieniądze, materiały budowlane i energię, bez szans na realizację. Kolejna mrzonka tej bandy z NSDAP.

– Byliśmy także w Reichenstein, ale miejscowa jednostka ss już zdążyła wpuścić wodę do sztolni... – wtrącił Ebert z obawy, że zapomnieli o jego obecności; nie lubił, kiedy zbywano go milczeniem.

– A Petersdorf? – Bergman spojrzał pytająco na Eberta i Sorna. – Byliście w tamtejszej fabryce? O ile mnie pamięć nie myli, wykuli podziemne hale fabryczne, bo zdaje się, że mają produkcję zbrojeniową i obawiali się bombardowań.

Sorn machnął lekceważąco ręką i sięgnął po kolejnego papierosa z papierośnicy swego szefa leżącej na stole. Zanim odpowiedział na pytanie, zerwał się z krzesła i podszedł do okna. Uchylił je szeroko. W gabinecie Bergmana od dymu wypalonych przez oficerów papierosów zrobiło się szaro. Georg pstryknął zapalniczką i zaciągnął się głęboko.

– Tam też już zajęte – wyjaśnił, wypuszczając głośno dym.
– Przywlekli jakiś transport aż znad morza. Lokomotywa wepchnęła wagony po prowizorycznych torach do wnętrza tunelu i zarwali kilka ton skał, które zamaskowały wejście. My już tam się nie zmieścimy. Ja nie wiem, czy oni, tam na górze, wyobrażają sobie, że pół Europy upchniemy w podziemiach Dolnego Śląska?

Na tak postawione pytanie major nie znał odpowiedzi i nie miał najmniejszego zamiaru tego tematu drażnić. W ostatnich tygodniach wszyscy stali się drażliwi ponad miarę, a Hanke za każde gówno stawiał przed plutonem egzekucyjnym. Było to ostatnie miejsce, które Bergman chciałby poznać z bliska i to pod sam koniec wojny.

– Poza tym, ja osobiście, mam poważne zastrzeżenia do lokowania skrzyń w piwnicach fabryk – dodał Sorn.

Zarówno Bergman jak i Kurt rzucili w jego stronę zdziwione spojrzenia.

– Może pan jaśniej, poruczniku – poprosił major. – Z jakiego to powodu?

– Moim zdaniem takie właśnie miejsca jak fabryki, zwłaszcza produkujące broń czy maszyny – tłumaczył, wpatrując się w mapę rozłożoną na stole. – W pierwszej kolejności zostaną spenetrowane przez Rosjan. W celu zagarnięcia jakże potrzebnego im sprzętu

i surowców. Zwłaszcza tych do produkcji Wundwerwaffe. Ponoć sami też nad tym pracują. Przy okazji mogą znaleźć skrzynie.

– Logiczne – przytaknął Bergman. – Proszę kontynuować, poruczniku, czy to już wszystko?

Sorn pokręcił przecząco głową i wziął do ręki jeszcze jedną karteczkę z tych leżących na stole i szybko przebiegł wzrokiem jej treść.

– Możemy skrzynie umieścić w podziemiach zamku Kynsburg, we wsi Kynau. Zamek należy do hrabiego von Zeidlitz, gorącego patrioty i zaufanego człowieka Hitlera. Jakiś czas temu sam zaoferował nam do dyspozycji swoje dobra. Ponoć z pomieszczenia piwnicznego prowadzi tajne przejście wprost do komory tuż pod dziedzińcem zamku. Kynsburg w znacznej części jest już ruiną, a taka kupa cegieł zawsze stanowiła doskonały kamuflaż. Tylko dojazd nie tak dogodny jak do wzgórza Ratchberg czy nawet Willenberg.

Sorn zrobił krótką pauzę dla zwiększenia efektu i aby napić się paru łyków wody. Po chwili kontynuował:

– Natomiast w podziemiach pałacu w Alt Schonau, także należącym do von Zeidlitzów, urządzono wzmocniony betonem schron. W obawie przed bombardowaniami. Dojazd od autostrady tą samą trasą, na Jauer. Można tam złożyć skrzynie, wejście замуrować, zatynkować i przy pomocy popiołu z pieca postarzyć. Dla niepoznaki. Łatwo zachować tajemnicę, bo nawet przez przypadek nikt ciekawski nie podpatrzy... Więźniów do pracy weźmie się po drodze, z Gross-Rosen... A po akcji rozstrzela...

Na białutkiej jak mleko twarzy Bergmana, okraszonej piegami niczym indycze jajo pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Tak, to naprawdę doskonały wybór – pokiwał rudą głową; zamek, a jeszcze lepiej pałac, bardziej przemawiał do jego wyobraźni niż jakaś grotta w górach, gdzie nawet przez przypadek byle łajza czy maruder mógł trafić.

Ritter tej propozycji nie skomentował. Podobnie jak Bergman uważał, że to świetny wybór i miał cichą nadzieję, że Stary wskaże to miejsce.

– Na koniec zostawiłem, moim zdaniem, wyjście awaryjne – oznajmił Sorn, zerkając czujnie na Rittera. – Ale coś w zanadru trzeba mieć. Mam na myśli kazamaty Festung Glatz.

Z karteczką w dłoni wyliczał zalety tego właśnie miejsca.

– Po pierwsze: dobry dojazd, nawet teraz, przy tym mrozie. Po drugie: twierdza dysponuje dostateczną liczbą ludzi do pracy i to takich, których bez zbędnych ceregieli można zlikwidować po wykonaniu zadania. Mieści się tam filia obozu koncentracyjnego z Gross Rozen i zakłady AEG, w których zatrudnieni są robotnicy przymusowi. Z uwagi na prowadzoną tam produkcję zbrojeniową teren nie jest łatwo dostępny. Poza tym rozpoczęli częściową ewakuację swoich urządzeń. Przy tym wnoszeniu i wynoszeniu skrzyń i pakunków, nasze depozyty niezauważone prześlizną się do wnętrza budowli. Można je zamurować w podziemiach. Jest tylko jeden poważny minus...

– Tak? – Bergman zawiesił na poruczniku wyczekujące spojrzenie.

– Mówi się o przesunięciu granicy z Polską na Nysę Kłodzką, więc rozumie się samo przez się... – porucznik Sorn ułożył kartki równo, jedna na drugiej, i oczekiwał kolejnych dyspozycji swego szefa.

Major Bergman wstał zza stołu i z rękoma w kieszeniach spodni podszedł do okna. Z wysokości drugiego piętra, mrowie ludzi płynące w jedną i drugą stronę robiło przygnębiające wrażenie. Z tobołkami na plecach, z tymi wózkami i sankami gnali gdzieś przed siebie, w nadziei, że umkną swemu przeznaczeniu. Było mu ich po prostu żal. Gdy usłyszał za swoimi plecami głośne rozmowy czekających na jego decyzje oficerów, odwrócił się w ich stronę i oświadczył:

– Dziękuję wam, panowie – spojrzał na zegarek na przegubie ręki. – Spotykamy się o godzinie osiemnastej, u mnie w gabinecie. Zapoznam was ze swoją decyzją. Jakakolwiek ona by nie była, jutro, skoro świt, skrzynie muszą opuścić nasz budynek. Dostaliśmy do dyspozycji transportowego junkersa i część drogi można pokonać drogą powietrzną. Będzie szybciej. Znosi się na ocieplenie i wówczas tak sypnie śniegiem, że się nie pozbieramy i wszelkie wycieczki poza miasto pozostaną w sferze marzeń.

*

Dochodziła czwarta w nocy, gdy grupka szeregowych żołnierzy Wehrmachtu w pocie czoła wynosiła z piwnic i ładowała do wnętrza dwóch ciężarówek Opel Blitz 3t, stojących na wewnętrznym dziedzińcu budynku Polizeipresidium, skrzynie wypełnione bliżej nieznaną im zawartością. Nawet nie przyszło im do głowy, aby spytać pilnującego ich podoficera co zawierały. Oni już dobrze wiedzieli, że zbytnia docieklivość w takich sprawach mogła zakończyć się niespodziewanym strzałem w tył głowy. Im bliżej końca wojny, tym bardziej nerwowa atmosfera.

Szeptana propaganda o likwidacji zbędnych świadków tajemniczych transportów migiem dotarła do tych najbardziej zainteresowanych czyli tych od czarnej roboty, więc im nic do tego, co upchnęła w skrzyniach władza, ta czy tamta. A zapewne upchnęła coś okropnie ciężkiego, bo niektóre skrzynie musieli targać we czterech. Inaczej nie dawali rady. Mimo trzaskającego mrozu, pot lał się ciurkiem po ich plecach i kapał z nosa niczym smarki podczas grypy. Gdy skończyli załadunek, wskoczyli do ciężarówek, a one z dziedzińca powoli wytoczyły się na ulicę. Kolumnę prowadził kubelwagen z kierowcą i trzema oficerami z trudem mieszczącymi się w jego ciasnym i niewygodnym wnętrzu. Przez przysłonięte reflektory samochodów przesączała się jedynie wąska smużka światła w niewielkim stopniu oświetlająca drogę przed nimi. W miarę pustymi o tej porze ulicami przemykali się w ciemnościach otaczającej ich długiej, zimowej nocy, mijając kolumny pojazdów wojskowych i grupy Volksturmu. Lodowaty wiatr wciskał się pod plandeki, przenikał przez wojskowe płaszcze, które nie chroniły przed zimnem mrozącym do szpiku kości. Gdy dotarli na lotnisko Klein-Gandau, zarówno oficerowie jak i szeregowcy, stukali zębami jak niemowlęta grzechotkami.

– Wysiadać, gamonie! Ruszać się! Migiem! – wrzeszczał Ritter, odchylając plandekę ciężarówki.

Żołnierze wysypali się jeden za drugim i momentalnie zrobiło się im gorąco, gdy po raz kolejny złapali za ciężkie skrzynie. Targali je tym razem z ciężarówek do wnętrza czekającego na betonowym pasie startowym niewielkiego samolotu transportowego Junkers. Niebo nad miastem zszarzało i w bladej poświacie dnia dał się dostrzec stojący nieopodal szary, z licznymi

oknami, budynek lotniska z wieżą kontroli lotów. Nawet jeśli ktokolwiek w nim urzędował, poprzez zaciemnione czarnym papierem okna, na zewnątrz, nie wydostał się ani jeden strumyczek światła. Sorn i Ebert dyrygowali żołnierzami, mimo woli poddając się nerwowej atmosferze wprowadzonej przez Kurta. Darli się na cały głos:

– Szybciej! Ruszać się! Przebieracie nogami jak te muchy w mazi!

Tupot twardych podeszew żołnierskich butów o beton starannie oczyszczony ze śniegu rozlegał się echem w ciszy nadchodzącego poranka. Białe obłoczki pary ulatywały z ust zarówno dozorujących załadunku oficerów, jak i uwijających się w poście czoła szeregowców. Po pół godzinie praca dobiegła końca i pilot zapuścił silniki. Oficerowie wskoczyli do wnętrza samolotu, który błyskawicznie ruszył przed siebie i po chwili wzbił się w powietrze. Szeregowcy zmęczeni do granic ludzkiej wytrzymałości wdrapali się na pakę pustej już ciężarówki i cisnęli siedzenia na wąskie ławeczki umocowane wzdłuż boków. Dyszeli ciężko i ocierali rękawami płaszczy pot kapiący z czoł i nosów. Niektórzy wyciągnęli z kieszeni spodni papierosy i zapalili ze smakiem. Nie zdążyli jeszcze wypalić swoich papierosów, gdy do ich uszu dotarła głośna kanonada wybuchających bomb. Huk dobiegający nie wiadomo skąd, rozrywał im bębunki w uszach.

Powstało wszystko z prochu

Garść ziemi rzucona ręką pastora Wilkasa zadudniła głucho, spadając na drewniane wieko ciemnej, dębowej trumny i przyniosła ze sobą zapowiedź czegoś nieznanego i groźnego jednocześnie. Rozsypała się ciemnymi, wilgotnymi drobinami po niewielkim mosiężnym krzyżyku, mającym przyzdobić i odebrać upiorny charakter temu ostatniemu na ziemi miejscu przynależnemu każdemu człowiekowi, nadać mu ciepłego, metafizycznego wymiaru. Następnie cichutko, nieomal bezszelestnie, jej ziarenka posypały się w głąb ciemnego, ziejącego pod trumną dołu, gdzie i ona za chwilę miała podążyć już na zawsze. Na wieki. Aż do zmartwychwstania, jak optymistycznie obiecywał w pożegnalnym kazaniu pastor.

– Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – oznajmił donośnie memento, które boleśnie utknęło drzazgą w sercach grupy ludzi ciasno stłoczonych wokół trumny; choć słońce już dość mocno grzało, oni poczuli na plecach nieprzyjemny dreszcz, jakby już znaleźli się w lodowatym prosektorium.

Grabarze przystrojeni w białe rękawiczki i czarne płaszcze o kroju rodem z ubiegłego wieku, z krótką pelerynką okrywającą ramiona, powoli opuścili trumnę na sam dół wykopanego dzisiejszego ranka grobu. Oskar Sarna, młody mężczyzna mocnej budowy, po trzydziestce, z twarzą białą jak jego odświętna

koszula, którą musiał w dniu dzisiejszym założyć, z zaciśniętymi boleśnie ustami, sięgnął ręką do przyzmy świeżej ziemi, chwycił pełną garścią i rzucił w ślad za trumną. Po raz kolejny zadudniła głucho, jakby drewniana skrzynia była pusta i niktogo w swym przytulnym, wyściełanym białym atłasem wnętrzu nie gościła. A przecież tak nie było. Spoczywały w niej, jak to się poetycko i nieco staromodnie mówi, doczesne szczątki Jerzego Sarny, który przed czterema dniami zmarł na zawał serca w wieku 68 lat. Przed pochmurnymi oczyma Oskara, jakby to miała być jego ostatnia chwila, mignęły pocztówki z przeszłości. Te z dzieciństwa i wczesnej młodości. Przewijały się jak film puszczany domowym projektorem. Obraz młodego jeszcze ojca, choć przedwcześnie posiwiąłego jak gołąbek, na wozie drabiniastym wypełnionym pod niebo pachnącym słodko sianem, poganiającego batem konia, aby zdążyć ze zwózką do stodoły przed nadciągającą burzą... Ojciec wbijający paliki przy sadzonkach pomidorów w ogrodzie warzywnym, ojciec wprawnym ruchem strzygący owce, ojciec ścinający piłą starą jabłonkę w sadzie... Przypomniawszy sobie podziw, a nawet nutkę zazdrości, z jaką spoglądał na jego muskularne ramiona, kiedy jednym uderzeniem siekiery przerąbał solidne polano dębowe na pół... Ani Oskar się obejrzał, kiedy i jego chude jak patyczki ręce wyrostka zamieniły się w szerokie bary silnego mężczyzny. I te zniszczone pracą dłonie ojca nieporadnie pielęgnujące umierającą matkę. Te same dłonie położone na głowie Oskara, w geście błogosławieństwa na nową drogę życia, gdy wyruszał do Wrocławia na studia, do szkoły teatralnej. Ileż to wówczas się nasłuchiwał, że błaznowanie to nie zawód dla mężczyzny! Że nie zapewni chleba rodzinie, że będzie człowiekiem do wynajęcia, że tam wszystko jest na

sprzedaż. A potem te wilgotne ze wzruszenia oczy ojca na przedstawieniu dyplomowym, w którym Oskar zagrał Hamleta. Miał po ojcu to samo ponure spojrzenie szarych oczu i nawet taki sam niewielki dołeczek w brodzie. Tylko włosy miał po matce – jasne, pszeniczne i kręcone, całe w lokach jak u barokowego amorka. Rzucając zimną, wilgotną ziemię na wieko trumny żegnał się ze swym ojcem – Jerzym Sarną, mężczyzną zawsze zamkniętym w sobie, mrukliwym, lecz pracowitym i opanowanym. „Dołączyłeś do mamy” – pomyślał z żalem i cofnął się o krok, aby jego żona, Magda, cała zapłakana, skrywająca czerwone od łez, zapuchnięte oczy za ciemnymi okularami, mogła symbolicznie, rzucając garstkę ziemi, pogrzebać swego teścia. Choć nigdy między tą dwójką nie było jakiegoś wyraźnego uczucia, zarówno miłości czy niechęci, to łączyła ich niewidoczna nić porozumienia, takiego bez słów. Obydwoje kochali jego, Oskara, i obydwójce łączyli się w wysiłku, aby wspomagać go, kiedy tego potrzebował. Dopiero, kiedy teść umarł, Magda zdała sobie sprawę, jak bardzo był jej bliski i jak bardzo będzie go jej brakować. Starła się zapanować nad łzami, wiedząc, że przecież jutro będzie musiała stanąć za swoim nauczycielskim biurkiem i poprowadzić tysięczną już lekcję, zmuszając leniwych maturzystów do zapamiętania przyczyn i skutków kolejnego, zakończonego klęską powstania i wszystkich związanych z nim dat. A oni i tak pomyślał to Listopadowe ze Styczniowym, a Krakowskie z Warszawskim. Kiedy ujrzą jej zapuchniętą od płaczu twarz, będą chichotać po kątach, szeptać za jej plecami, że pewno poprztykała się z mężem i ryczała przez całą noc, dlatego teraz bardziej przypomina upiora z Luwru niż ładną, trzydziestoparoletnią kobietę, którą była. Ale mimo to, nie mogła nad sobą zapanować. Gdy rzucała

garść ziemi, łyzy na nowo potoczyły się po jej policzkach. Nieustannie obcierała je ścisną w dłoni chusteczką, całkiem już przemoczoną. Nerwowym ruchem założyła za uszy spadające na twarz, długie, ciemne włosy. W swym cierpieniu nawet nie czuła uwierania niewygodnych, nowych czółenek na obcasach, zbyt wysokich jak na nierówną, żwirową ścieżkę i hałdy ziemi rozsypane wokół grobu.

Oskar objął ją szerokim ramieniem i mocno przygarnął do siebie. Powoli przywykał do tych smutnych obrządków, powtarzających się co kilka lat. Który to już pogrzeb w rodzinie Sarnów? Od tego dzisiejszego skurczyła się do dwóch osób: Oskara i Magdy. Pozostali uczestnicy ceremonii to rodzina Magdy, sąsiedzi i znajomi Jerzego Sarny, mieszkańcy Bielic, małej wioski zagubionej wśród lasów, u podnóża gór. A ich także zaledwie garstka. Stary Jerzy Sarna był odludkiem i samotnikiem. Rozmowy ograniczał do kilku słów o pogodzie lub o chorobach zwierząt gospodarskich. Jak diabeł święconej wody unikał politykowania oraz wszelkich rozmów o przeszłości i rodzinie. Na ten temat nikt we wsi nic nie wiedział.

– Wszyscy zginęli podczas wojny – ucinał krótko każdą wzmiankę, każde pytanie o przeszłość i zaciskał wąskie usta, jakby w obawie, że jakieś nieopatrzne słówko wymysknie się spośród nich bez jego woli.

I nikt więcej nie drażył tematu. Takich, jak Jerzy Sarna, w 1945 roku były tysiące, setki tysięcy. Jedni oczyszczali się poprzez ciągłe wspominki i opowieści o okropnościach minionej wojny, wyliczali ofiary niemieckich bombardowań, hitlerowskich łapanek, ukraińskich czystek, sowieckich łagrów czy poległych na licznych frontach, a inni, i do takich zaliczał się stary Sarna,

milczeli niczym te groby pomordowanych członków rodziny. Nawet Oskar nie dostał tego zaszczytu, aby usłyszeć opowieści o nieznanym dziadku czy babci. Jedynie matka Oskara wiedziała wszystko. Pytana przez syna, głaskała go po jasnej główce i mówiła z westchnieniem:

– Syneczku, po co ci to wiedzieć? Zginęli podczas bombardowania, jak wielu...

– A gdzie zostali pochowani? – Mały Oskar nie dawał za wygraną.

– Na cmentarzu w Łodzi – odpowiadała krótko. – Tam mieszkali podczas wojny.

Drugich dziadków, rodziców swojej matki, też w zasadzie nie znał. Babcia Marynia zmarła, kiedy Oskar miał dziesięć lat, więc niewiele zapamiętał. Tylko kilka bajek, które mu opowiadała przed snem. Natomiast ojca matki, dziadka Bazyla, nigdy nie poznał. W babcinym pokoju, na mahoniowej komodzie, z roku na rok coraz bardziej podgryzanej przez korniki, stała jego fotografia oprawiona w ozdobne, ciemnobrązowe ramki o owalnym kształcie. Spoglądał z niej mężczyzna ubrany w odświętny surdut czy marynarkę – Oskar nie znał się na tej przedwojennej modzie – z sumiastym wąsem pod dość długim nosem. Spojrzenie ciemnych oczu miał ciepłe i pełne wyrozumiałości. On też zginął na wojnie. Jak wielu innych. Na tej samej komodzie stała jeszcze jedna fotografia, w takich samych, owalnych, ciemnobrązowych ramkach. Przedstawiała bardzo młodego mężczyznę, w zasadzie młodzieńca, o pszenicznych kręconych włosach. Kołnierzyk białej koszuli miał wyłożony na klapy jasnej marynarki. Uśmiechał się promiennie. Zdjęcie przedstawiało brata matki. Zmarł już po wojnie, rok czy dwa przed narodzinami Oskara. Jak mówiła

mama – został zamordowany. Zapytana kiedyś o niego babcia, zasłoniła dłońmi twarz i zaniósła się szlochem. Od tamtego dnia Oskar omijał wzrokiem fotografię, a wszelkich rozmów o bracie matki unikał jak ognia. I na ten grób nigdy nie chodzili, jakby nikt z rodziny nie wiedział, gdzie się znajdował.

Sąsiad Jerzego Sarny, Franciszek Ozga, liczący z pewnością tyle samo lat co zmarły, zgięty ku ziemi pod ciężarem lat, rzucając garść ziemi na trumnę zagryzł wargi osłonięte długimi kosmykami zaniedbanych wąsów i karnie cofnął się pomiędzy żałobników. Te starsze wiekiem sąsiadki, w czarnych chustkach na głowach, jak przystało na katoliczki, zęgały się zamasyżycie znakiem krzyża, nie patrząc, że są na ewangelickim pogrzebie. Ale Pan Bóg z pewnością nie zwrócił na to uwagi, jak i pozostali uczestnicy uroczystości. W obliczu śmierci nic nie miało istotnego znaczenia, poza jej majestatem i nieuchronnością. Wraz z jego rówieśnikami, przyszły pożegnać starego Sarnę i młodsze sąsiadki. Ubrane odświętnie w białe bluzki i ciemne żakiety, z kolczykami w uszach, paski od czarnych torebek przewiesiły na ramiona, wszystkie w identyczny sposób. Trzymały się razem, szepcząc między sobą, co jakiś czas. Nawet grupka młodzieży pod czujnym okiem wychowawcy, przebywająca na szkoleniu w Domu Zborowym, przyszła odprowadzić mało znanego im sąsiada na miejsce wiecznego spoczynku. Choć na twarze pozakładali maski powagi i smutku, strzelali na boki ciekawskimi oczyma, szukając czegoś bardziej interesującego niż trumna z nieboszczykiem w środku. Dla nich śmierć i pogrzeby były odległe jak obca galaktyka, nierealne jakby ich nigdy nie miały dotyczyć. Jeszcze tylko zaintonowano pożegnalny psalm i grabarze łopatami narzucili ziemię na dębową trumnę z Jerzym Sarną spoczywającą

w ziemnym dole. Gdy wszyscy złożyli już kwiaty na kopczyku ziemi, który skrył jego doczesne szczątki, podchodzili do stojących tuż przy grobie na kształt żywych posągów cementarnych Oskara i Magdy, składając im kondolencje. Wszystkie tej samej treści, że zmarły był wspaniałym człowiekiem, że bardzo współczują, że będzie im go brakować i jeśli trzeba w czymś pomóc, to oni zawsze... Oskar, spoza pleców Franciszka Ozgi, który serdecznie, po ojcowsku, go objął i szczerze załkał na jego ramieniu, dostrzegł stojącego w pewnej odległości mężczyznę. Mógł być rówieśnikiem jego ojca, lub może był trochę młodszy albo tylko lepiej się trzymał. Być może nie zniszczyła go ciężka praca na roli, bo ubrany był po miastowemu, a nawet, tak przyszło do głowy Oskarowi, przypominał zagranicznego turystę. Wyprostowany dziarsko, z włosami srebrnymi jak szron, ale nadal gęstymi, w eleganckich, o złotych oprawkach, okularach na nosie. Gdy ich spojrzenia spotkały się, nieznamy mężczyzna dyskretnie wycofał się za drzewa, a po chwili zniknął, przysłonięty drepczącymi wokoło grobu sąsiadami i znajomymi starego Sarny, którzy uznali za swój chrześcijański obowiązek towarzyszyć mu w drodze na wieczny odpoczynek.

Gdy Oskar i Magda już wracali z pogrzebu do Bielicy i minęli mostek za Gieraltowem, nagle Oskar przypomniał sobie tego człowieka.

– Widziałas tego mężczyznę, takiego elegancko ubranego? Stał tuż za drzewem, bliżej grobu Kokoszkowej? – spytał Magdę.

Spojrzała na niego przez zapuchnięte od łez powieki.

– Nie... – odparła. – A dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Z ciekawości. Nigdy wcześniej go nie widziałem – odparł, nie spuszczać wzroku z dziurawej szosy.

Jak zwykle po zimie, więcej w niej było dziur niż asfaltu. Niektóre tak duże, że groziły urwaniem zawieszenia, a ich stary fiat w kolorze pomarańczy i tak był już w kiepskiej kondycji. Niektóre dziury, te większe, wypełnione wodą po ostatnim deszczu, odbijały jak w lustrze promienie mocno już przyświecającego, wiosennego słońca.

– Może to jakiś znajomy ze Stronia... – bąknęła.

– Być może... Lecz wyglądał jakoś tak... Nie po naszymu.

– Z pewnością wrócił z roboty w Niemczech, to był ubrany porządnie. Zresztą – machnęła ręką – kilka osób było całkiem obcych. Wiesz, jak to jest. Ludzie lubią latać po pogrzebach czy znali zmarłego, czy nie.

Na wspomnienie uroczystości łzy na nowo napłynęły jej do oczu. Sięgnęła do torebki po chusteczkę i głośno wysiąkała nos. Uchyliła okno, bo choć był początek kwietnia, to słońce już dość mocno grzało i w aucie zrobiło się gorąco.

– Ja nie zauważyłem nikogo więcej poza tym facetem...

– Była jeszcze taka kobieta. Młoda i ładna. Z krótko obciętymi czarnymi włosami. Nigdy przedtem jej tutaj nie widziałam – opowiadała, pociągając nosem. – Stała razem z Zaleśnymi. Gapiła się na ciebie jak sroka w gnat. Myślałam, że to jakaś koleżanka z teatru od ciebie bezczelnie sprawdza, czy dobrze grasz swoją rolę...

– Z teatru raczej nie – wymamrotał. – Nikogo nie powiadamiałem.

Usiłował sobie cokolwiek przypomnieć, ale w głowie miał w zasadzie pustkę. Nie pamiętał wiele z tego wszystkiego, co działo się wokół niego, nie zwrócił uwagi, kto przyszedł na pogrzeb, a kto nie. Niewiele go to interesowało. Chyba wolałby

przeżywać swój ból sam, ale na tradycję nic nie można poradzić. Byłaby śmiertelna, nomen omen, obraza, gdyby nie powiadomił o pogrzebie, nie pozawieszał w okolicy klepsydry z informacją o śmierci ojca i dacie pogrzebu. Zresztą we wsi i okolicy, ci którzy tak, jak jego ojciec byli ewangelikami, wiedzieli od pastora, kiedy odbędzie się uroczystość. Jak do tej pory na tego rodzaju wydarzenia nie było konieczne zaproszenie. Przychodził kto chciał, a jak nie chciał, to nie przychodził. Inna sprawa, jak mu później tyłek obrobili życzliwi sąsiedzi. Zwłaszcza w takiej małej wsi jak Bielice, gdzie żyła zaledwie garstka mieszkańców. Pomyślał, że ojciec życzyłby sobie, aby pogrzeb wyglądał właśnie tak, jak wyglądał – z klepsydrami, z nabożeństwem żałobnym, z tymi ludźmi, którzy go opłakiwali, a wracając z cmentarza mówili jeden do drugiego: piękny pogrzeb miał stary Sarna, naprawdę piękny...

– Nie zauważyłem żadnych ładnych kobiet – bąknął pod nosem; w końcu pogrzeb własnego ojca to nie miejsce, aby rozglądać się za babami. – To z pewnością czyjaś krewna. Czuła się zobowiązana wobec ojca, może go znała... Ja już ich wszystkich nie bardzo pamiętam, poza Ozgami. Nie mieszkam tu przecież od ponad dziesięciu lat, a ostatnio jacyś nowi zaczęli się wprowadzać...

Zatrzymał samochód w tym samym miejscu co zawsze – przed murkiem z granitowych kostek, tuż przy niewielkim pagórku porośniętym iglakami, które zaraz po narodzeniu Oskara posadziła jego matka. Jeden, ten największy i najdorodniejszy usechł tej zimy. Jakby szykował się na śmierć razem z ojcem. „Trzeba go wykopać” – pomyślał, wysiadając z samochodu.

Gdy weszli do chałupy, którą przed laty opuścił Oskar, a która była jego rodzinnym domem, owionął ich chłód. Nie tylko

z tego powodu, że nikt rano nie napalił w piecu, a noce w kwietniu były jeszcze zimne, ale także chłodna była ta pustka, którą odchodząc na zawsze, pozostawił po sobie Jerzy Sarna. Oskar zdjął marynarkę i przewiesił przez oparcie krzesła. Podwinął rękawy odświętnej, białej koszuli i sprawnie wygarnął popiół z kuchennego pieca wprost do metalowego, zdezelowanego wiadra. Miało chyba tyle lat co on, czyli ponad trzydzieści albo jeszcze więcej. Być może było ponemieckie. Odkąd pamiętał, zawsze do niego wygarniali popiół. Duszący pył unosił się jak mgiełka do góry i wywołał u Magdy, stojącej bezradnie pośrodku obszernej kuchni niczym żona Lota, atak kichania. Przywrócił ją do rzeczywistości. Choć zdążyła już po śmierci teścia dokładnie wysprzątać cały dom, chwyciła miotłę do ręki i jeszcze raz pozamiatała podłogę. Na kuchenkę gazową wstawiła aluminiowy czajnik z wodą. Zanim się zagotowała, od gorącej płyty pieca rozeszło się po całej izbie przyjemne ciepło. Jasne promienie wiosennego słońca wesoło zaglądały do wnętrza chałupy przez maleńkie okienka, przyozdobione białymi firankami, za nic mając pogrzebowy nastrój jej mieszkańców. Jakby mówiły: Psy szczekają, a karawana idzie dalej!

Z herbatą w czerwonych, fajansowych kubkach zasiedli przed domem, za ogrodowym stołem, który Magda nakryła jasnym, lnianym obrusem. Nie używany był chyba od śmierci matki Oskara przed pięciu laty. Wraz z innymi, ułożonymi w równą kostkę niczym pościel na łóżku rekruta, spoczywał w szufladzie przepastnej komody w sypialni Sarnów. Wyprany zapewne jeszcze rękoma Sarnowej. Zmarła tuż przed ślubem Magdy i Oskara. Nie zdążyła dać się poznać jako teściowa. Mogła być typową teściową – głową wężową, wszak Oskar był jedynakiem.

Koleżanki uprzedzały Magdę, że taka mamusia zapatrzona w jedynaka, może dać solidnie w kość. Co by Magda nie zrobiła i nie powiedziała, i tak zawsze będzie źle. W końcu była tą, która zabrała syna. Ale o tym Magda już nigdy nie miała się przekonać. Tak się złożyło, może szczęśliwie, a może nie, że miała nie mieć teściowej.

– Karo, co masz zamiar zrobić z domem? – spytała, używając zdrobnienia jego imienia wymyślonego przed laty przez matkę; odkąd pamiętał wszyscy tak do niego mówili.

Zaskoczyła go tym pytaniem. Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ten dom jemu zawsze kojarzył się z rodzicami i to wydawało się wieczne, niezienne, jak wschody i zachody słońca, jak wiosna następująca po zimie. To pytanie nagle uświadomiło mu, że teraz dom należał do niego i mógł o nim decydować. Upił kilka łyków herbaty i sięgnął po paczkę Piastów do kieszeni spodni. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko dymem. Gdy uwolnił go z płuc, siny, niezbyt apetycznie pachnący obłoczek powędrował wprost do Magdy. Odgoniła go, zniecierpliwiona, ręką. Ona nie paliła i nie znosiła smrodu papierosów. Zawsze narzekała z tego powodu na Oskara, ale wyjątkowo dzisiaj nie skomentowała jego nałogu, że rujnuje sobie zdrowie, że puszcza pieniądze z dymem, dosłownie i w przenośni, że jego pocałunki przypominają smakiem starą popielniczkę.

– Nie mam pojęcia – odparł w końcu i poczochnął w zadumie swoje gęste, jasne włosy – Jeszcze o tym nie myślałem...

– Może zostawmy go sobie... – zaproponowała marzycielskim tonem. – Będziemy tu spędzać święta i wakacje... Tak jak zawsze... To takie zaczarowane miejsce...

Spojrzał na nią zaskoczony. Nie znał jej z tej strony. Miał ją za typową miastową damę – manicure, pedicure, wizyty u fryzjera i kosmetyczki, modne ciuchy. Ostatnio obydwójce przebąkiwali o przeniesieniu się z Wrocławia do Warszawy, bo tylko tam Oskar jako aktor mógł zrobić prawdziwą karierę. A tutaj, na tej zapadłej wsi, w której nawet prąd założono dopiero dwadzieścia lat temu, nic tylko praca i praca. W piecach trzeba palić, trawę kosić, chwasty pilić, a zima odcina od reszty świata na długie tygodnie. Nawet kanalizacji nie było... „To chyba jednak prawda, że kobiety są nieodgadnione...” – przemknęło mu przez myśl.

– Mówisz poważnie? – spytał.

– A ty nie chciałbyś? Nie lubisz tego miejsca?

Pewno, że lubił. Nawet więcej – kochał je, chociaż nigdy by się głośno do tego nie przyznał. Ta wąska szosa wijąca się przez wieś, rozrzucone luźno chałupy, w większości opuszczone przez mieszkańców, jakby tutaj naprawdę diabeł mówił wszystkim do branc, te łagodne zbocza gór porośnięte gęstym lasem pełnym jagód, grzybów i dzikich zwierząt, zawsze w jego sercu wzbudzały tkliwe uczucia. Za wsią droga wkraczała w las i wiodła donikąd. Wybudowana ku wygodzie drwali zwożących dłuższe traktorami lub końmi. Wokoło tylko góry, las, Puszcza Białki i granica, zamykająca całą okolicę jak w worku. Z tego powodu, jak opowiadał Jerzy Sarna, zaraz po wojnie, władze nie zrobiły nic, aby zatrzymać na tym odludziu przybyłych osadników. Miejscowych Niemców usunięto w 1946 lub 47 roku. Po latach wieś wyludniła się. Została tylko garstka mieszkańców. Ale od roku czy dwóch sytuacja się zmieniła. Nie tylko powstał Dom Zborowy, ale także wraz z modą na mieszkanie na wsi, do Bielic

zaczęli zjeżdżać ciekawi ludzie z miasta. Wieś powoli zamieniała się w intelektualną kolonię. Oboje z Magdą bardzo pasowali do tego krajobrazu – ona nauczycielka, on aktor. Obydwoje mieli długie wakacje – ona w szkole, a on w teatrze. Aż dwa miesiące. Zimą przerwa świąteczna.

Oskar momentalnie zapalił się do jej pomysłu. Uśmiechnął się, po raz pierwszy od kilku dni.

– Masz rację, Madziu – pogładził ją czule po ręce ściskającej kubek z herbatą. – Zostawimy sobie tę chałupę. Myślę, że i rodzice tego by sobie życzyli. W końcu to moja ojcowizna, a ona nie powinna trafić w obce ręce.

– A twoje plany, aby wyjechać do Warszawy?

Zatrzymał wzrok na czerwonej łunie zachodzącego słońca, rozświetlającej niebo tuż nad wierzchołkami gór, na widoczne gdzieś daleko światełka chałup przycupniętych nisko nad ziemią, posłuchał ciszy przerywanej jedynie szumem wiatru w koronach wysokich świerków, wciągnął głęboko do płuc wilgotne powietrze przesycone zapachem młodej trawy na łąkach, żywicą wyciekającą z naciętych pni drzew, wonią obornika wyrzuczonego przez starego Ozgę na środek obejścia i machnął ręką.

– Mam gdzieś wszystko to, co nazywają karierą. Ten cały blichtr i zgiełk. Nigdzie nie będę się przenosił – oznajmił zdecydowanie i zerwał się z miejsca.

Uszedł kilka kroków i wskazując puste miejsce tuż przy chałupie, oznajmił:

– Tutaj dobudujemy garaż, a ten stary płot – wyciągnął rękę w kierunku powyłamywanych, spróchniałych sztachet, które kiedyś dawno ogradzały całą posesję – wywalimy i postawimy nowy, taki z szerokich desek, jak na Podhalu.

– Można przed wejściem postawić ganek, jak w szlacheckim dworku, żeby deszcz nie padał na głowę, kiedy się wchodzi do domu... – Magda puściła wodze fantazji.

– A na nim postawimy ławeczkę i wieczorami będziemy siedzieć, podziwiając zachody słońca. Mama marzyła o takim ganku, ale jakoś nigdy za to ojciec się nie zabrał...

– Wywalimy ścianę pomiędzy stołowym i gościnnym i powstanie duży salon – Magda płynęła na fali marzeń coraz dalej i śmieiej. – A od strony ulicy postawimy drewniane trejaże i posadzimy winobluszcz.

– I, wiesz – Oskar także się rozmarzył – zamiast tego pieca kaflowego, wybudujemy kominek, taki z piaskowca, z grubą belką nad paleniskiem... Wiezorami będziemy grzać się przy żywym ogniu...

– Może, kiedyś, zamieszkamy tutaj na stałe... Kiedy przejdziemy już na emeryturę...

Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc na purpurowo i złoto nadciągające nocne chmury, topiąc w czern wierzchołki niezbyt wysokich gór porośniętych lasem. A oni nadal, pochyleni ku sobie, jakby powierzali jedno drugiemu jakieś arcyważne tajemnice, snuli marzenia o szczęśliwej przyszłości.

Bo wszystkie dni
jego są cierpieniem,
a zajęcie jego utrapieniem

Kiedy tylko do uszu żołnierzy dotarł ogłuszający huk wybuchających bomb, błyskawicznie wysypali się z ciężarówki. Na szarym tle nieba ujrzeli srebrzysty kadłub transportowego Junkersa atakowanego wściekle przez dwa radzieckie Iły. Nadleciały nie wiadomo skąd, jakby znalazły się w tym miejscu przez przypadek albo były zaczajone za drzewami.

Gdy tuż obok okienka, przy którym siedział Ritter, świsnęła oślepiająca seria z karabinu maszynowego wypuszczona z wieżyczki radzieckiego Iła, a druga seria zagrzechotała metalicznie o skrzydło Junkersa, kapitan wpadł do kokpitu pilota.

– Zawracamy! – wrzasnął. – Nasz ładunek nie ma prawa się rozbić! Jest zbyt cenny!

Przeżażeni polowaniem, które rozgrywało się na ich oczach, szeregowcy obserwowali zgrabną ucieczkę niemieckiego samolotu. Po chwili obydwie ciężkie Iły, widząc bezsens pogoni, rzuciły swój śmiercionośny ładunek na teren lotniska, nie czyniąc jednak większej szkody w pasie startowym i odleciały. Cudem ocalały Junkers, kołując powoli, wylądował.

– Załadować skrzynie z powrotem na ciężarówkę! – rozkazał Ritter, wyskakując z samolotu jak z procy; trzęsącymi się rękoma usiłował zapalić papierosa.

Po godzinie, szeregowcy u kresu wytrzymałości, z czarnymi plamami potu na szarych mundurach, targali skrzynie z powrotem w to samo miejsce, z którego o świcie, w krwawym wysiłku je wynosili. Porucznik Ebert z rękoma w kieszeniach płaszcza pilnie baczył, czy wykonują swoją pracę solidnie. Kapitan Ritter z papierosem w ustach, z twarzą bladą jak kreda, opuścił ponury budynek przy Schweidnitzer Stadtgraben i udał się w sobie tylko znanym kierunku. Na porucznika Georga Sorna spadł przykry obowiązek poinformowania szefa całej operacji, majora Otto Bergmana o jej fiasku na samym wstępie. Ale ten wypadek przy pracy był zarówno jemu, jak i Sornowi na rękę. Kiedy już obydwaj w zaciszu gabinetu na drugim piętrze ustalili szczegóły działań na kolejny dzień, Georg Sorn mógł przystąpić do realizacji jeszcze jednego, ściśle tajnego zadania.

Podnosząc do góry kołnierz wojskowego płaszcza i naciskając czapkę mocniej na czoło, ruszył energicznym krokiem na przystanek w pobliżu domu towarowego spółki AWAG. Zimowe słońce blado odbijało się w licznych oknach, a w jego wnętrzu kłębiły się setki klientów, chcących kupić wszystko, co tylko można było dostać na kartki lub bez. Tramwaj nadjechał zatłoczony, ale Sorn miał do pokonania tylko kilka przystanków, więc nie stanowiło to dla niego większego problemu. Stojąc na tylnym pomoście, jeszcze raz układał w myślach kolejne kroki. Zdawał sobie sprawę, że to już końcówka, że to kwestia kilku tygodni, no może dwóch, trzech miesięcy i Niemcy poniosą sromotną klęskę. Ale to nie rozwiązywało jego problemów. Z otrzymywanych

z Agencji komunikatów jasno wynikało, że on tę wojnę chyba przegrał. A z pewnością jej nie wygrał. Jednak jak dotąd nikt nie zwolnił go z danego słowa przysięgi wojskowej i otrzymywane rozkazy musiał nadal wypełniać. Do końca. Cokolwiek miało-
by to słowo oznaczać.

Wysiadł na przystanku przy Klosterstrasse i przepychając się pomiędzy ciżbą przechodniów zmierzających nie wiadomo dokąd i po co, szybkim krokiem skierował się wprost do widocznego z oddali jasnego budynku szpitala przy klasztorze ojców Bonifratrów. Także w tym miejscu od wielu dni panowała gorączka zbliżającego się oblężenia, choć ranni z frontu docierali już dawniej. Duszny zapach chloroformu i środków dezynfekcyjnych wszechobecny na szpitalnych korytarzach, szeleszczące wykrochmalonymi fartuchami siostry z tacami, na których brzęczały szklane pojemniki z lekami, salowe z nocnikami w rękach przemykające się w obydwie strony, pacjenci w pasiastych piżamach snujący się pod ścianami – wszystko to niosło nieprzyjemne skojarzenia z bólem, cierpieniem, a nawet śmiercią.

Porucznik Sorn zgrabnie wyminął tę szpitalną ciżbę i wewnętrznymi, szerokimi schodami wbiegł na pierwsze piętro. Kolejnym korytarzem, niewiele różniącym się od tego poprzedniego, pomaszerował wprost do widocznych na jego końcu białolakierowanych drzwi, na których widniała tabliczka z napisem: doktor Emil Obitz, laryngolog. Sorn zapukał energicznie i kiedy usłyszał głośne „proszę”, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Za niewielkim biurkiem lekarskim pomalowanym błękitną farbą olejną, siedział czterdziestoparoletni mężczyzna w białym kitlu ciasno opinającym wydatny brzusek. Spojrzał na wchodzącego oficera spoza okularów dalekovidza nałożonych

na czubek nosa – przed chwilą studiował karty pacjentów za-
legające na biurku. Uśmiechnął się służbowo i nie wypuszczając
pliku papierów z palców przypominających serdelki, spytał
urzędowym tonem:

– Czy pan porucznik był umówiony?

– Tak jest, oczywiście – odruchowo zameldował. – Jestem
pańskim pacjentem. Porucznik Georg Sorn. – przypomniał le-
karzowi.

– Ach tak! Nie poznałem pana w pierwszej chwili... Ostat-
nio mamy takie zamieszanie... – doktor Obitz odłożył na biurko
trzymaną w dłoni dokumentację i uniósł się z krzesła.

Sorn uśmiechnął się przymilnie, tak jak wypada pacjentowi
do swego lekarza i rozpiął płaszcz. Rozejrzał się wokół siebie,
a kiedy dostrzegł tuż przy drzwiach, w kącie gabinetu, przy-
mocowane do ściany haczyki na okrycia, podszedł i powiesił
płaszcz oraz czapkę. Poprawił poły munduru i spojrzął pyta-
jącym wzrokiem na lekarza. Stał tuż obok, z wysoko zadartą
głową, aby choć spojrzeniem zrównać swoją niewysoką, kor-
pulentną sylwetkę z masywną postacią przybyłego na badanie
oficera.

– Proszę tutaj, panie poruczniku... – doktor Obitz wskazał
ręką fotel, którego kształt wyraźnie wskazywał, że nie służył do
odpoczynku z filiżanką kawy w dłoni. – I jak te pańskie migdał-
ki? Bo to była angina, o ile dobrze pamiętam?

– Tak jest, angina – odparł po żołniersku, siadając na nie-
wygodnym meblu. – Jest już lepiej, ale mam wrażenie, że ten po
prawej stronie nadal jest powiększony. Boli mnie podczas prze-
łykania, zwłaszcza czegoś twardego. No i ta zakonna mikstura
do płukania już mi się skończyła.

– Zaraz zobaczymy, co my tutaj mamy... – wymamrotał Obitz.

Przycupnął na stołku obok, zaśwycił lampkę nad czołem i wciśniętą głęboko do gardła szpatułką, przytrzymał stanowczo język Sorna. Porucznik odniósł wrażenie, że zaraz wymiotuje.

– Proszę szerzej usta, taaak... Ajajaj, co tu się wyprawia... – doktor skomentował wygląd oficerskich migdałków. – Nadal mamy ropę... Już kończymy... Jeszcze tylko zajrzemy do krtani...

Sięgnął do stoliczka z narzędziami po szklaną lampkę, nad której płomykiem laryngologa zazwyczaj ogrzewają metalowe lusterko, aby przy jego pomocy zajrzeć jeszcze bardziej w głąb pacjenta. Tego badania Sorn szczególnie nie lubił.

– Siostrzo Helgo! – Obitz odwrócił się w stronę pielęgniarki grzebiącej nie wiadomo w jakim celu we wnętrzu przeszklonej szafki z lekarstwami i całą masą rupieci nieznanym Sornowi. – Proszę nalać denaturatu, bo widzę, że lampka jest pusta. – oznajmił, wyciągając naczynie stanowczym gestem w jej kierunku.

Helga, młoda, tęga dziewczyna w szarym habicie upodabniającym ją do spopielalego stogu siana, podreptała do kolejnej szafki z medyczną zawartością i chwilę penetrowała wzorkiem jej wnętrze.

– Zdaje się, że już się skończył, panie doktorze – oznajmiła zdziwiona, bo przecież miała wrażenie, że jeszcze wczoraj stała w szafce pełna butelka. – Zaraz przyniosę z magazynu – dodała speszona; zaniedbała swój obowiązek i nie uzupełniła denaturatu na czas.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, doktor Obitz odłożył trzymane w ręce narzędzie do badania, a porucznik Sorn

błyskawicznie sięgnął do kieszeni munduru i wyjętą z niej karteczkę, zwiniętą w rulonik, wcisnął w dłoń doktora. Momentalnie wyładowała w tylnej kieszeni jego spodni.

– Musisz nadać jak najprędzej, najlepiej jeszcze dzisiaj – szepnął Sorn ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. – Ta kobieta, o którą pytał Pelikan, jest podwójnym agentem. Jeżeli jeszcze mamy ten drugi kanał, to niech spreparują cokolwiek, a ja podrzucę to Bergmanowi.

– Treść zaszyfrowałeś?

– Według instrukcji. Pamiętaj o błędzie w drugim wyrazie pierwszego zdania... Żebyś nie poparwił...

Doktor Obitz kiwnął tylko głową. Jak na razie miał doskonałą pamięć i dzięki temu jeszcze nie wpadł, a współpracował z obcym wywiadem już cztery lata.

– A jaki wynik w sprawie tego XTZ? – spytał szeptem.

Sorn uśmiechnął się z satysfakcją. Otrzymane od Pelikana, spreparowane dowody zdrady wtyczki Abwehry w sercu Agencji, zaowocowały wyrokiem śmierci nie tylko dla agenta, ale także dla prowadzącego go oficera ss. Tego pierwszego wyrokiem sądu rozstrzelano, a drugiemu ścięto głowę. Jeżeli się uda, to jeszcze przed końcem wojny kolejna wtyczka Abwehry, oznaczona kryptonimem Kot, zostanie skompromitowana w oczach swoich mocodawców.

Doktor Obitz sięgnął do szuflady swego biurka i wyciągnął stamtąd schowaną butelkę z denaturatem. Z chytrym uśmiechem na twarzy pokrytej nikłym zarostem z zeszłego dnia, puścił oczko w kierunku porucznika. Nalał płynu do lampki, z kieszeni lekarskiego kitla wyciągnął zapalniczki, zapalił jedną i przytknął do wystającego knota. Momentalnie buchnął błękitnym płomieniem.

– Co z transportem skrzyń? – spytał, wsuwając metalowe lusterko w ogień. – Masz już jakąś koncepcję?

Sorn spoglądał z niepokojem na jego poczynania i nerwowo przeczesywał włosy palcami. Po chwili sterczały niesforenie na wszystkie strony.

– Dziś rano, na lotnisku, ostrzelali nas Rosjanie. Nie wiem, co tam robili, bo przecież nalotu nie było. Wyglądało, jakby na nas urządzili zasadzkę, ale to przecież niemożliwe. Musiał być to przypadek. Jutro w nocy transport wywieziemy ciężarówkami. Tak będzie bezpieczniej – odparł po chwili. – Bergman chce wykołować tych z gestapo, bo marzy mu się kolejna Rzesza pod nowymi rządami, a Ritter gra do własnej bramki. Mam wrażenie, że całość chce zagarnąć dla siebie i liczy na pomoc tej gnidy, Eberta.

– A ty, co masz zamiar z tym fantem zrobić? Rzucisz im jak kość, niech psy się pozagryzają?

Sorn przełknął kolejną porcję śliny, widząc, że Obitz przeciera nagrzone już lusterko płatkami sterylnej gazy.

– Jeśli dam radę zwinąć im transport sprzed nosa, to skrzyń nie będą nasze...

– Nasze? – Obitz westchnął ciężko, jakby dźwigał w rękach nie lekkie jak piórko narzędzie laryngologiczne, lecz górniczy kilof. – Ja już nie mam złudzeń...

– Może masz rację – szepnął. – Czas pokaże, ale nie dopuszczę, aby dostały się w ręce Rittera i jego popleczników. Opuścisz Breslau? – spytał po chwili, choć wiedział, że nie powinien; doktor Obitz postąpi zgodnie z otrzymanym rozkazem.

– Nie – odparł krótko. – Nasza wojna przecież nigdy się nie kończy. – zakończył dyskusję półzartem. – A teraz otwórz szeroko usta...

Uchwycił przez jałowy gazik wysunięty na brodę język porucznika i wsadził lusterko głęboko do jego gardła.

– A teraz proszę powiedzieć: „eeee” – poprosił urzędowym tonem, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich siostra Helga z butelką denaturatu w ręce.

Gdy Sorn opuścił gmach szpitala, przelykał ślinę raz za razem. W gardle nadal czuł uwieranie metalowego przyrządu, jakby doktor zapomniał po badaniu go wyjąć. Otrzymaną w aptece buteleczkę z ziołową miksturą do płukania gardła wcisnął głęboko do kieszeni płaszcza. Spojrzał na zegarek – zbliżało się południe. Z pobliskiego kościoła dochodziły żałobne tony jakiejś religijnej pieśni żałośnie zawodzonej przez wiernych w nieznaną Sornowi intencji. Czas go naglił. Podniósł kołnierz płaszcza do góry, nacisnął czapkę na czoło i przez Bruderstrasse ruszył w kierunku dworca. Wraz z nim w tym samym kierunku zmierzali ci, którzy mieli zamiar i możliwość opuścić miasto. Nie było ich zbyt wielu, wręcz odwrotnie. To do Breslau zjeżdżały tłumy ze wschodu i z zachodu. Już nigdzie nie było bezpiecznie. Nasilające się bombardowania i posuwający się na przód front na zachodzie Niemiec wywoływały wśród ludności cywilnej panikę. Nacierająca ze wschodu armia czerwona wzbudzała śmiertelne przerażenie. Gauleieter nie zezwalał na zaplanowaną ewakuację miasta – jego zgoda oznaczałaby brak wiary w zwycięstwo, a to karane było śmiercią.

Po kilkunastu minutach marszu Sorn skręcił w Gartenstrasse. Gdy przeszedł kilka kroków, ujrzał nad bramą znajomy szyld: – Tłumacz przysięgły, Herbert Kranz, I piętro, mieszkanie numer 3. Porucznik rozejrzał się dyskretnie i nie widząc pomiędzy gęstą ciżbą zmierzających w obydwu kierunkach ludzi nic niepokojącego, wszedł do bramy. Po skrzypiących, drewnianych schodach,

o pięknych poręczach zaopatrzonych w rzeźbione tralki, dotarł na pierwsze piętro i nacisnął dzwonek przy drzwiach ozdobionych mosiężną cyferką „3”. Po chwili dał się słyszeć stukot drobnych, zapewne kobiecych, kroczków i w progu stanęła młoda kobieta w białym fartuszk z falbanką, nałożonym na czarną sukienkę. Ciemne włosy miała upięte z tyłu głowy. Spojrzała na Sorna ładnymi oczami koloru mlecznej czekolady. Otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła do środka.

– Czy zastałem pana Herberta Kranza? – spytał uprzejmie, starannie wycierając ośnieżone buty o wycieraczkę. – Byliśmy umówieni. Obiecał pożyczyć mi tomik poezji Rilkego.

– Pan Kranz jest w swoim gabinecie. Proszę zdjęć okrycie – poprosiła bardzo grzecznym, miłym dla ucha głosem.

Sorn rozpiął płaszcz, zdjął czapkę i wręczył cierpliwie czekającej pokojówce. Otworzyła przed nim drzwi po przeciwnej stronie przedpokoju. Przyglądził włosy dłonią i wszedł do pokoju. Herbert Kranz, drobny i niewysoki, siedział na wózku inwalidzkim tuż obok regału z książkami sięgającego sufitu. Właśnie wyciągał jedną z nich spomiędzy setek pozostałych. Spojrzał na wchodzącego porucznika bystrzymi oczyma przywodzącymi na myśl deszczowe niebo późną jesienią. Uśmiechnął się życzliwie i wówczas jego wysuszona twarz pokryła się siateczką zmarszczek.

– Dobrze cię widzieć, Georg – oznajmił nieco nostalgicznym tonem. – Rozumiem, że sprawa ważna, skoro jesteś osobiście.

– Przede wszystkim pilna – odparł Sorn i nieproszone zasiadł na krześle przy dużym, okrągłym stole stojącym pośrodku pokoju.

Nakryty koronkową serwetką, ozdobiony kryształową patelnią, w której czerwieniły się dorodne jabłka, sprawiał wrażenie

normalności, spokoju i bezpieczeństwa, a przecież żadnej z tych rzeczy już nie było w tym mieście. Sorn wyjął z kieszeni munduru paczkę papierosów i wyciągnął w stronę mężczyzny na wózku. Kranz gestem ręki podziękował za poczęstunek. Podjechał wózkiem do stołu i czekał cierpliwie, aż Sorn zapali swego papierosa i wyjawi z czym przyszedł. Znali się osobiście od dwóch lat, od kiedy Bergman zainstalował porucznika w Abwehrstelle Breslau. Herbert Kranz, którego prawdziwego nazwiska nikt nie znał, swoją profesją parał się jeszcze przed wybuchem wojny. Był tak głęboko zakonspirowany, że udało mu się przetrwać przez te wszystkie lata zawieruchy i doczekać jej końca. Ale podobnie jak Sorn nie wiedział, co owo magiczne słowo „koniec” dla nich oznaczało tak naprawdę. Każdy wyobrażał go sobie inaczej.

– Potrzebuję na dzisiejszy wieczór ekstra panienkę. I to taką, która nie wypuści kochasia z łóżka do samego rana – oznajmił bez ogródek. – Albo go tak wyeksploatuje, że nawet nalot bombowy go nie obudzi. Tylko musi to być Niemka.

Kranz zachichotał lubieżnie i poskrobał się po głowie.

– Da się załatwić – odrzekł po chwili. – Na czyj adres ją wysłać?

– Na ten – Sorn sięgnął po Volkicher Beobachter z datą 10. stycznia, leżącą na stole, z kieszeni munduru wyjął ołówek i na skrawku gazety napisał nazwę ulicy i numer mieszkania. Mahrtastrasse 17 mieszkanie numer 4.

Kranz rzucił okiem i momentalnie zapamiętał. Po chwili podjechał wózkiem do olbrzymiego, kaflowego pieca, stojącego w kącie pokoju, otworzył metalowe drzwiczki i wrzucił niepotrzebny już papierek w zachłanne ramiona płomieni. Po sekundzie z kawałka gazety nie pozostał nawet ślad. Zamknął drzwiczki i wrócił